

Dziś w numerze: **Rozwój kulturalny Łodzi** • **Bożek nie tylko Pabianic**
Targi tysiąclecia • **O egzaminach wstępnych bez mistyfikacji** • **Nazis**
en 66 • **Recenzje** • **Felietony** • **Polonica**

Odgłosy



Nr 26 (388)
 3. VII. 1966 r.
 10 siron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

JULIUSZ GARZTECKI

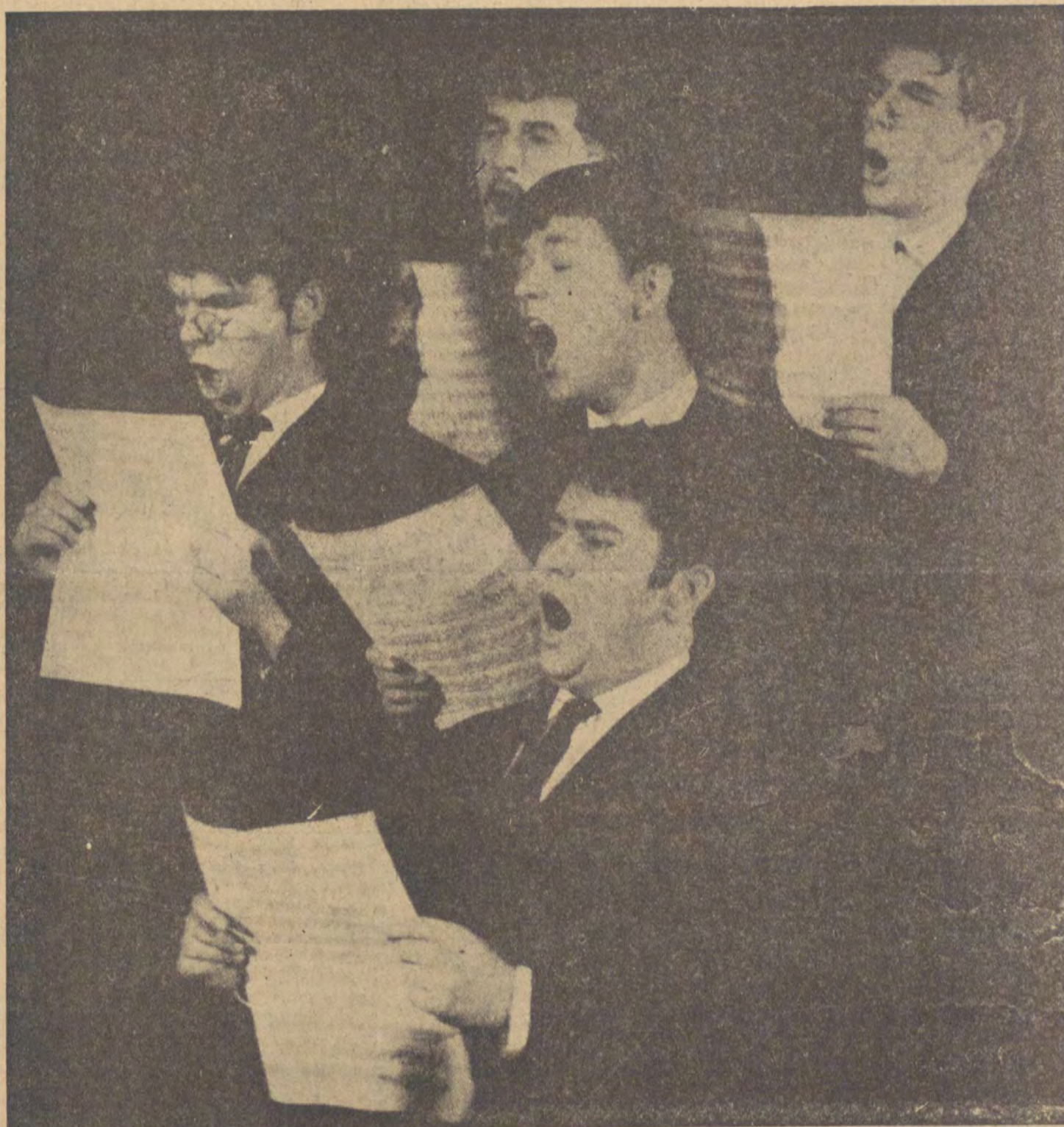
Trzeba zagrać na loterii

Winy zaś złożymy na kozła ofiarnego i wypędzimy go na puszcze.

No, bo jakże to: siedemnaście lat budowy, termin za terminem niedotrzymywany, budynek stał w stanie surowym przez kilka lat nie ruszany, w środku rybki można było w wykopie łowić...

Ostatni termin rozruchu na lipiec 1965 r. I oto mamy czerwiec roku następnego, i nowy termin: przełom listopada i grudnia 1966 r. Z frontu: roboty wykończeniowe, na zapleczu już remont: tu zaciepek na ścianie, ówdzie malowanie olejne. Dawać winnych!

Wybór — ogromny. Pierwszy na liście: Leon Schiller. W czasie, gdy jeszcze podczas wojny i zaraz po wojnie Łódź była intelektualną stolicą Polski, gdy gromadziła kwiat literatury, publicystyki, sztuki teatralnej. I gdy Schiller raz jeszcze zamarzył realizację swego TEATRU OGROMNEGO, zainicjował nawet zbieranie publicznych funduszy na ten cel. I oto stoi budynek na placu im. Dąbrowskiego. Dziwny budynek. Fronton: zgrabne, smukłe kolumny, skromny a zgrany z całością fryz płaskorzeźby, u samego zaś szczytu — szpetna kostka murów bez otworu i pozornie — usprawiedliwienia. Z boku „most westchnień” wysoko nad poziomem ulicy, przeszklony: wydaje się nie wysoki, lecz wewnątrz mierzy 10 metrów od podłogi do stropu. Za mostem — budynek potężny, kamieniczny w wyglądzie, wielce wysoki i rozległy. Całość ciągle jeszcze oficjalnie nazywa się „Teatrem Narodowym w budowie”. Budowie, która po inicjatywie Schillera przejęła w swe ręce i finansowało Ministerstwo Kultury i Sztuki. Lecz oto zaczęły się targi o koncepcji: co tu ma się ostatecznie mieścić, kto ma kończyć ten ogrom: drugi w Polsce, po Operze warszawskiej, gmach teatralny, dwunasty w Europie. Widownia 1300 miejsc, kubatura całości 190.000 metrów sześciennych.



Dalszy ciąg na str. 3

IAN KOPROWSKI

Temat: kultura

Kultura to jest to, co czyni nas bogatszymi, ale w inny sposób.
 IGNACY SOSIUGA, elektro-monter

Przez Polskę przeszła fala sejmików kulturalnych. Najpierw odbyły się one w gromadach i powiatach, a obecnie odbywają się w miastach wojewódzkich. Jak wiadomo, chodzi na tych sejmikach o dokonanie analizy i oceny dorobku kultury dwu-

dziestolecia i wybór delegatów na zaplanowany na jesień w Warszawie Kongres Kultury Polskiej. Wielka to impreza i godna najwyższej uwagi.

Nie mam zamiaru zajmować się statystyką osiągnięć kulturalnych w naszym mieście, które są niewątpliwie i dla każdego widoczne. I nie wyliczenia ilościowe mam na celu, ale raczej zastanowienie się nad treścią i problematyką życia kulturalnego, nad tym, w jakim stopniu coraz szersza i powszechniejsza twórczość kulturalna wpływa na kształtowanie ogólnego poziomu życia, smaku estetycznego, wrażliwości artystycznej, potrzeb w odbieraniu sztuki i literatury.

Gdyby mnie ktoś zapytał, które z dokonanych powojennych w tej dziedzinie uważam za najważniejsze, odpowiedziałbym bez wahania: powstanie w Łodzi Uniwersytetu oraz pozostałych wyższych uczelni, jak: Politechnika, Akademia Medyczna, a także uczelnie artystyczne. Widzę w tym najbardziej doniosły, w ramach ogólnych przemian, fakt kulturowy. Łódź przestała być tylko oazą przemysłu włókienniczego. Stała się także ośrodkiem naukowym i twór-

czym na skalę, której sama w latach poprzednich nie przewidywała.

Dlaczego to właśnie osiągnięcie należy uznać za najważniejsze? Bo z wyższych uczelni wychodzą i wychodzić będą w przyszłości zarówno twórcy nauki i kultury, jak i jej doskonali odbiorcy, popularyzatorzy i upowszechniacze. Wyższe uczelnie są zatem prawdziwą kuźnią ludzi oświeconych, bez których nie może powstawać i rozwijać się współczesna kultura. Przy wprowadzaniu wciąż nowych środków i metod działania, potrzebni są pracownicy z wykształconymi umiejętnościami. Chałupnictwo kulturalne odeszło do lamusa, świat dzisiejszy, prezentujący złożone systemy organizacyjne, nakłada na nas obowiązek stałego podnoszenia kwalifikacji.

Styższy się nieraz, że istnienie ośrodka uniwersyteckiego nie zaznacza się w naszym mieście w sposób pełniejszy, odpowiedni do jego wagi i doniosłości. Sa nawet tacy, co twierdzą, że w środowiskach naukowych zarysowuje się tendencja do tworzenia getta. Wydaje nam się, że jeśli jest to prawda, to winić za ten stan rzeczy nie należy jedynie naukowców. Albowiem, czy potrafiliśmy istnienie wyższych uczelni — w szczególności wyższych uczelni artystycznych — należycie wykorzystać w polityce kulturalnej naszego miasta? Któż z niepełnoinformo-

wanych, odgadnie, że Łódź jest siedzibą słynnej w świecie Wyższej Szkoły Filmowej? Ale trzeba pamiętać i o tym, że wyższe uczelnie, mające za sobą dopiero 20 lat życia, nie posiadają długiej i bogatej tradycji. Nie mogą odwołać się do swej przeszłości i korzystać z narosłej i dostatecznie już ugruntowanej historii. One dopiero tworzą swoją historię i swoją tradycję. Dawnej Łodzi nie brakowało ludzi światłych i uczonych, ale nie było życia uniwersyteckiego, ponieważ nie istniały wyższe zakłady naukowe. Nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę na co dzień. Młodość uniwersytecka naszego miasta ma swoje niedostatki, ale ma także zalety. Nie przytłacza nas nadmiar historycznej przeszłości, możemy śmiało wdziierać się w najbardziej nowoczesne obszary eksperymentu i w bogatej dzisiejszości świata szukać podniet do pracy i działania.

Dwie ma w Łodzi dziedziny twórcze, które mają do czego odwołać się w przeszłości. To plastyka i teatr. Tutaj Łódź posiada karty pięknie zapisane. Byli tu nie tylko plastycy. Istniał także ruch plastyczny.

Dalszy ciąg na str. 3



Pobyt prezydenta de Gaulle'a w Związku Radzieckim podzielony został na trzy wyraźne części: rozmowy polityczne, zwiedzanie kraju i od 29 bm. — ponownie rozmowy polityczne. Chociaż sensacją ostatnich dni stało się zwiedzanie przez de Gaulle'a radzieckiego kosmodromu i uczestniczenie w wystrzeleniu kolejnego satelity Ziemi — oczywiście najwięcej miejsca w komentarzach prasowych zajmuje ocena pierwszego etapu rozmów. Zdania publicystów są uprzedzone podzielnymi, jednak większość nie bez racji uważa, że już pierwsza część dialogu przyniosła polityczne konkrety. Należą do nich w pierwszym rzędzie: postanowienie o konsultowaniu między obu mocarstwami polityki europejskiej, zapowiedź współdziałania w dziedzinie kosmicznej, naukowo-technicznej i rozszerzenia współpracy kulturalnej oraz osiągnięcie zbieżności poglądów w sprawach dotyczących trzeciego świata, a zwłaszcza problemu wietnamskiego.

Agencje zachodnie jako motto rozmów odnotowują słowa „Krasnej Zwiędzy”, która w artykule z 23 czerwca stwierdziła:

„Współpraca między Francją a Związkiem Radzieckim mogłaby unie możliwić wojnę w Europie... Nasze kraje należą do różnych systemów społecznych i polityka zagraniczna może być często przeciwstawna. Jednakże nie stanowi to wcale przeszkody dla wzajemnej współpracy”.

Wizyta prezydenta Francji w ZSRR przebiega zgodnie z przewidywaniami polityków, czyli pod znakiem wielkiego, ożywczo dialogu francusko-radzieckiego, którego następstwa oby były jak najrozsławniejsze.

Rezerwując sobie prawo powrotu do problemu w przyszłym tygodniu, kiedy to już będzie znana także druga tura rozmów, chciałbym stwierdzić, że przebieg wizyty de Gaulle'a obserwowany jest w Polsce z wysokim zainteresowaniem i dużą sympatią. W pełni podzielamy bowiem opinie, wyrażoną przez Leonida Breżniewa, że „dalszy rozwój stosunków radziecko-francuskich mogłoby doprowadzić do stworzenia atmosfery sprzyjającej realnemu posunięciu się naprzód po drodze umocnienia bezpieczeństwa Europy i europejskiej współpracy. W pełni zgodzamy się również, że oba kraje mają wspólnie nad czym popracować w interesie pokoju w Europie”.

Wspomniałem powyżej o zbieżności poglądów Związku Radzieckiego i Francji na problem wietnamski. Podkreślił to towarzyszący de Gaulle'owi min. Couve de Murville w wywiadzie, udzielonym radiu i telewizji francuskiej w Nowosybirsku, stwierdzając:

„Francuzi, Rosjanie i prawdopodobnie inne narody świata pragną, by skończyła się wojna w Wietnamie i by doszło do porozumienia w oparciu o układy genezyjskie”.

Jak tymczasem przedstawia się sytuacja w Wietnamie? Nie podejmowałem tego tematu bodaj od trzech tygodni i dziś chciałbym wyjaśnić niektóre sprawy.

Podczas, gdy USA trwają przy swej brutalnej interwencji, a niektórzy politycy waszyngtońscy zapowiadają dalsze nasilenie działań wojennych — prasa zachodnia dużo uwagi poświęca wizytom w Hanoi: najpierw kanadyjskiego dyplomaty Ronninga, a obecnie dyplomaty francuskiego — Sainteny. I jeden i drugi wyjechali podobno z misją przeprowadzenia sondażu.

O pierwszej z tych wizyt kanadyjski minister spraw zagranicznych — Martin powiedział w parlamencie, że miała dwa cele: „zorientowanie się czy można znaleźć bazę do podjęcia bezpośrednich, oficjalnych dyskusji między zainteresowanymi stronami w kwestii uregulowania konfliktu oraz kontynuowanie badania stanowiska zainteresowanych rządów”.

O drugiej mówi się, że chociaż ma charakter prywatny, jej znaczenie podkreślone będzie listem de Gaulle'a do Ho Chi Mínga.

Nie wnikając w szczegóły tych misji, a tym bardziej nie podejmując się ich oceny — warto przecież podkreślić, że trwają poszukiwania dróg zlagodzenia konfliktu. Czy mają one jakiegokolwiek szanse powodzenia? Odpowiedź na to pytanie należy do Stanów Zjednoczonych, które doskonale wiedzą, na jakich to warunkach mogłaby się otworzyć perspektywa pokojowego uregulowania problemu. Niestety, mimo wzmagańcej się krytyki polityki USA w Wietnamie, czego na przykład dowodem zarejestrowany przez instytut Gallupa najwyższy od 30 miesięcy spadek popularności Johnsona, nie znajdujemy oznak, wskazujących na zmianę stanowiska Waszyngtonu. W tej sytuacji i cele misji muszą być bardzo ograniczone.

Problem wietnamski przewija się czerwona nicią niemal przez wszystkie polityczne rozmowy. W Bukareszcie dyskutowali o nim Czou En-laj i Ceausescu, w Kabulu — ministrowie: Rapacki i Etemadi.

Wizyta min. A. Rapackiego w Afganistanie jest kolejnym przejawem na szczeblu polityki międzynarodowej. Jej celem jest dalsze zacieśnienie bilateralnych stosunków, zwłaszcza na płaszczyźnie gospodarczej, naukowej i kulturalnej. Lecz nie tylko. Dala ona także okazję do omówienia niektórych pilnych problemów międzynarodowych.

W Afganistanie, kraju, który prowadzi politykę współistnienia, wypływa jąca z aktywnego neutralizmu, znaleźliśmy nie tylko pilnych słuchaczy, ale i czynnych partnerów w walce o pokój.

„Już wstępne spotkania — mówił min. Rapacki w trzecim dniu wizyty do wicepremiera i ministra spraw zagranicznych Królestwa Afganistanu, N. A. Etemadi — wykazały, jak dobrze się rozumiemy i jak bliskie więzy prawdziwej przyjaźni łączą nasze narody”.

W. SŁAWSKI

Tygodnik Tygodnia

Max Factor przygotowuje rewolucję w dziedzinie mody: kobiety powinny malować kolana! „Przygotowałam wiele wzorów i motywów, wszystkie są wodoodporne i nie ulegają ściernaniu. Prosty zabieg — i kolana stają się pięknym dziełem sztuki. Która kobieta się temu oprze?”

Frank Sinatra w czasie uczty imieninowej swego przyjaciela Deana Martina został ciężko pobity. Znokautował go 54-letni F. R.

znajdowała się w ciężkim stanie. Medycyna była bezradna. Dopiero psycholog Malcolm Kushner zdołał jej pomóc.

„To nie ja pomogłem a Iwan Pawłow — powiedział naukowiec w wywiadzie udzielonym prasie. — Zastosowałem jego wskazania: do ramienia chorej podłączyliśmy elektrody i gdy kichała, włączaliśmy prąd. Doznała wtedy lekkiego szoku, wytworzyły się odpowiednie odruchy i wkrótce kichanie ustało. Moja zasługa polegała tylko na celnej diagnozie, od razu wiedzia-

radiowej propagandy. Był on skazany za zdradę stanu na długoladne więzienie, a w uzasadnieniu wyroku brytyjski sąd określił go jako „jednego z najpodlejszych poddanych Jej Królewskiej Mości”.

Murzyńscy działacze Watts (Los Angeles) nawiązując do niedawnych krwawych zająć, domagają się wydzielenia tej murzyńskiej dzielnicy i nadania jej w ramach całego miasta daleko idącej autonomii samorządowej.

Jeśli chce się być przedmiotem zainteresowania jakiegoś towarzysza, w pierwszym rzędzie trzeba być nieobecnym.

AUDREY HEPBURN

Znany publicysta amerykański Edward Crankshaw wydał książkę pt. „Chruszczow — dzieje kariery”. Analizując historię osiągnięć i potknięć byłego premiera ZSRR, autor konkluduje:

„Nie można zaprzeczyć, iż to on właśnie (Chruszczow) wprowadził Rosję w nową epokę wielkich przemian: stało się tak, ponieważ nie uląkł się działania, gdy inni jeszcze się działania lekali. Wyszukał hasła walki o pokój, położył podwaliny pod dobrobyt społeczeństwa. Był jednak obciążony prze-

Tak zwane szczęście, które jakże ułatwia życie, to najczęściej po prostu błogosławiona ignorancja.

ROMAIN GARY

szłością — coś dziwnego, że jego własni towarzysze uznali w pewnym momencie, iż już nie nadaje się dłużej na przewodnika”.

Amerkańscy eksperci lotniczy po doświadczeniach wojny w Wietnamie wyciągnęli z koncepcji nowego strategicznego bombowca o szybkości ponadprzźwiękowej i znowu wracają do planów rozbudowy strategicznej floty powietrznej, wyposażonej w maszyny mające rozwijać tylko szybkość poddźwiękową.

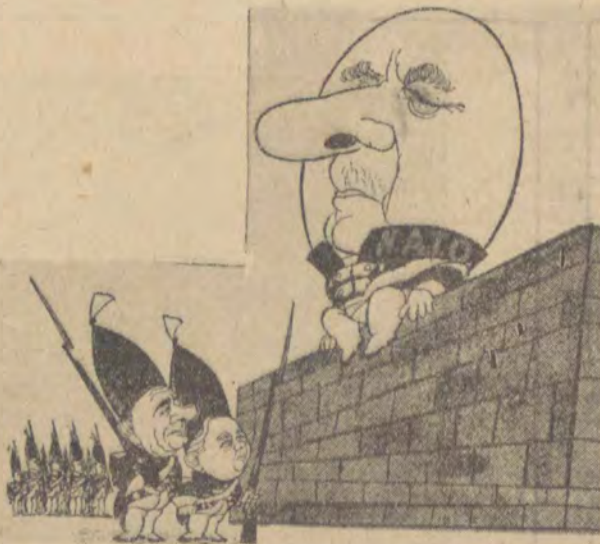
He kosztuje utrzymanie tajemnicy państwowej? Budżet i urzędów tajnych kancelarii Pentagonu dały następujące wyniki:

■ Każdy „tajny” dokument wojskowy kosztuje Pentagon 7.18 dolara rocznie.

■ „poufny” — tylko 2.11 dolara.

■ natomiast dokument „ściśle tajny” powoduje koszty przekraczające 10 dolarów.

Łącznie Pentagon wydatkuje na ten cel ponad 50 milionów dolarów rocznie.



I ty się łudziś, że ta forteca padnie?

Weisman, historyk sztuki i producent. Natomiast w śledztwie nie udało się ustalić, kto następnie pobił F. R. Weismana, który ze wstrząsem mózgu odwieziony został do szpitala.

Siedemnastoletnia June Clark, ofiara dziwnego katakry, kichająca w minutowych odstępach już od miesięcy.

Ciekawe, że słowo „idealista” stało się w naszych czasach na całym świecie, czymś w rodzaju obelgi.

ROMAIN GARY, pisarz

lem, że to kichanie to nie katar a skutek bodźców psychicznych.

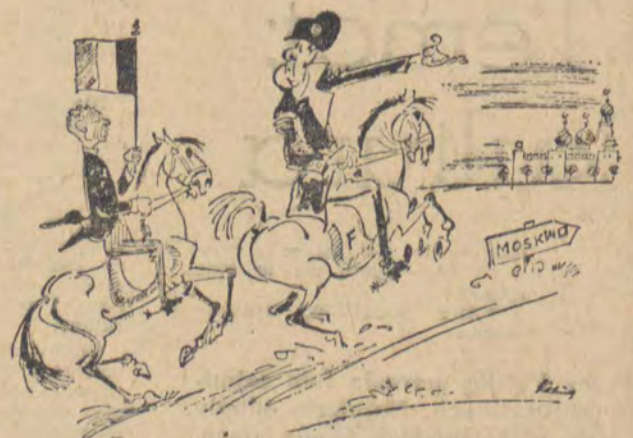
Stara pieśń szepetu Indian Potawatomi mówi o burzy, która sprawiła „iż step się poruszył i drzewa upadły i zadrżała cała ziemia”. Ponadto, jakie przeszło nad dawnym terytorium Indian Potawatomi dowiodło, iż stare pieśni i legendy często mówią prawdę: uderzenia wichury nie wytrzymały nawet żelazo-betonowe budynki, straty w jednym tylko mieście Topka wyniosły 100 milionów dolarów. Zginęło 15 osób, przeszło 300 odniosło ciężkie rany.

Papież Paweł VI został zaproszony przez rządzącą juntę generalską do odwiedzenia Indonezji. Wiadomość ta została potwierdzona w Rzymie.

Zmarł Norman Baillie-Stewart, ex-oficer armii brytyjskiej i kolaborator pracujący w hitlerowskim aparacie

Mówi się często, że u dziełem ludzkości jest zarówno bogactwo jak i bieda. To przesąd, taki sam jak powtarzane niegdyś „prawdy”, iż ludzie dzielą się na wolnych i niewolników.

J. NABRIT, socjolog



Tym razem chyba ją zdobędziemy, co Couve?

CZEKAJĄC NA GANTENBEINA?

Aby uniknąć nieporozumień chciałbym od razu powiedzieć, że to nie ja czekam na Gantenbeina, tylko Kisiel, felietonista „Tygodnika Powszechnego”. Bardzo nawet czeka. Czeka tak niecierpliwie, że warto zastanowić się przez chwilę, dlaczego właściwie czeka.

Kisiel przeczytał ostatnio powieść Maxa Frischa — „Na przykład Gantenbein” i jest oczarowany, cały felieton na temat tej powieści napisał. Nic w tym dziwnego, książka istotnie znakomita. Niepokojący jest, jak to często u Kisiela bywa, jego punkt widzenia, jego ton wcale nie lekko karnożyjski, jego głęboka wiara nie tyle w bogą ile w siebie, w swoje prywatne sądy ostateczne. Tym razem Kisiel dokonał sądu nad naszą współczesną literaturą, a szerzej mówiąc — odsądził ją od czci i honoru. Przy czym ten właśnie sąd wywiódł w dość zabawny sposób z lektury Gantenbeina.

Kisiel powiada o polskiej literaturze współczesnej: „A u nas?... Głosi się realizm społeczny i literaturę narodową, a wszystkie nasze powieści, czy filmy rozgrywają się na księżycu, na jakimś księżycu... Pomyślmy tylko, gdzie odbywa się akcja naszych najwybitniejszych współczesnych powieści, w imaginacyjnej, inkwizytorskiej Hiszpanii, w dzisiejszej Francji, na przedwojennych Kresach w zapomnianych gettach Wschodniej Malopolski, w okupacyjnej Warszawie, w Rzymie, za czasów pierwszych Piastów, w przyśrodku, wśród zamerykanizowanych chuliganów i złodziei, w krainach uniwersalnej symbolicznej fantazji i tak dalej. Jest wszystko, nie ma tylko klimatu dzisiejszego Dnia Zwyczajnego...”

Ejże! Jakbyśmy tak naprawdę pomyśleli, znalazłoby się niemało powieści z dnia dzisiejszego, moeno osadzonych w naszym polskim klimacie, no, ale Kisiel w to nie wierzy. Przecież gdyby przeczytał, to by uwierzył, a jakby uwierzył, to nie miałby o czym pisać. Piszcie więc, że naszą literaturę współczesną uratować może nikt inny, jak tylko Gantenbein. To jest idealny wzór dla nas i dla mas, narrodowy, realistyczny, osadzony mocno w realiach czasu i kraju szwajcarskiego.

Cóż tedy winien uczynić współczesny nasz pisarz, aby sobie ów wzór przyswoić? Autor Gantenbeina — jak nas zapewnia Kisiel — „nie jest ani materialistą, nie zajmuje żadnej postawy klasowej”. Czyżnie tedy to co on — nie będziecie i nie zajmujecie. Autor Gantenbeina posądzany jest o kosmopolityzm i abstrakcjonizm. Badźmy i my posądzani, a staniemy się realistyczni, uchwycimy klimat Dnia Zwyczajnego. Autor Gantenbeina wydołaby na wierzch niepewność każdej chwili naszego życia i fatalistyczną rolę przypadku. Wydobylamy i my na wierzch, a umiemy się w prawdziwym polskim sosie, znaczy pisarze umieszczają swoje powieści. Co zaś zrobili Czytelnicy — nie wiadomo.

Wiadomo jednak, że Kisiel nie ma racji, bałamuci, chachmęci, gmatwa, bałagani po swojemu. Oczywiście, wolno mu oczekiwać na krajowego Gantenbeina w gestym sosie polskim, ale nie wolno lekceważyć dorobku współczesnej literatury polskiej. Gdzież to się dzieją akcje wielu opowiadań Iwaszkiewicza, powieści Putramenta? Na księżycu, w inkwizytorskiej Hiszpanii? A nasza młoda powieść, powiedzmy dla przykładu — Brylla, Kabatea, Nowaka, Kłysia? A Wygodzki, Neverly, Zalewski, Bartelski, Bratny?

Lecz po cóż szukać daleko, kiedy można znaleźć blisko? Obserwujemy chociażby w naszym ludzkim środowisku pisarskim wcale poważny rozwój prozy, nie najgorzej przecież notowanej na krajowym rynku, nie najgorzej przecież notowanej, gdzie toczą się losy bohaterów Władysława Rymkiewicza, Gomolickiego, Chrościelewskiego, Papiera, Czernika, Sztajnera, Huszczy, Karczewskiej, jeżeli nie tu, w kraju pośród Dnia Zwyczajnego? Nie uciekł nam między chuliganów ze swoją prozą Koprowski ani Loboda na przedwojenne Kresy, draży Dzień Zwyczajny Nienacki. W Łodzi, a i w innych ośrodkach wojewódzkich odbywają się właśnie Sejmiki Kultury. Można z góry założyć, że niemało miejsca zajmie podczas obrad literatura. Ta właśnie współczesna, w jednych wypadkach wybitna, w innych słabsza, istniejąca jednak i rozwijająca się bez oczekiwania na Gantenbeina, bohatera skądinąd znakomitej powieści.

Kisiel będzie chyba samotnie oczekiwał na niego, a jak się zdenerwuje, zdejmie marynarkę, zakasze rękawy i wzorując się na swoim ideale wykrzyczy wreszcie coś, co będzie ani materialistyczne, ani klasowe, podejrzane o abstrakcjonizm i kosmopolityzm, a równocześnie głęboko realistyczne i narodowe. Czekając tedy na Kisiela, kreślił się z należytym mu szacunkiem

Wierbażarowicz

Trzeba zagrać na loterii

Dalszy ciąg ze str. 1

nych, w tym sam główny budynek teatralny — 161.000.

Więc te targi, więc to ten okres zamawiania w stanie surowym, więc mamy drugiego kozła ofiarne-go: resort wienien!

A teraz z winnych: trzeci. Stowarzyszenie Przyjaciół Opery w Łodzi, założone w kwietniu 1954 r. z rektorem PWSM, prof. Kazimierzem Sikorskim na czele. Opera powstaje dosłownie w kilka miesięcy później. W grudniu 1954 r. zapada decyzja Prezydium MRN o oddaniu gmachu Teatru Narodowego — Operze. Bo przecież — ona już pracuje. Pracuje w oparciu o młody zespół.

Jak to się latwutko mówi: „pracuje”! Siedem lat bez własnej orkiestry, bez własnych sal prób, bez własnego personelu technicznego. I bez sceny. Spektakle odbywały się w poranki niedzielne, w poniedziałki i wtorki w Teatrze Nowym i w Teatrze im. Jaracza. Próby zespołu, przez wiele lat, w prywatnym mieszkaniu prof. Władysława Raczkowskiego. I oto ostatnia grupa „winnych”: ci, którzy ja w tych warunkach stworzyli i podtrzymywali. Spekulanci! Spekulowali na nadziei otrzymania budynku!

W styczniu 1960 r. zapada decyzja o upaństwowieniu Opery Łódzkiej, w grudniu tegoż roku obejmuje ona zaplecze budowanego teatru. Kierownikiem artystycznym jest od października 1961 r. dr Zygmunt Łatoszewski, dyrektorem od maja 1965 — Stanisław Piotrowski. Oto — historia.

A oto dom, w którym się ona już obecnie rozgrywa. Dziwny budynek. Ładny budynek. Ta kostka wieńcząca szczyt, to miejsce na urządzenia mechaniczne nad sceną. Zda się się, jak dotychczas, nikt innego rozwiązania architektonicznego nie wymyślił. Opera warszawska zwiększona jest bryłą jeszcze szpetniejszą. Ostatecznie można by zamiast kostki postawić kopułę. Koszmar byłby pożyteczny. Dziw za to bierze, że w środku i z zewnątrz, za zamazanymi wapnem oknami, tak pięknie, tak ciekawie i tak nowoczesnie po tyłu latach przeprojektowali i adaptacji. Tu zastąpił najbardziej: główny projektant prof. Korsiński, senior z Politechniki Krakowskiej i jego syn i kontynuator, również profesor też Politechniki, Witold Korsiński. Akustykę nadzoruje nasz najlepszy fachowiec, prof. W. Straszewicz z Warszawy; robił po-

miary prowizoryczne, twierdzi, że będzie doskonała.

Wnętrze: foyer wielkie, wszystkie ściany przeszklone, biel, bardzo dużo bieli, lekkie akcenty szarości: marmurowe schody, z brązu: poręcze schodów, zabudowa bufetów. Schody przestronne, przejścia szerokie, dużo powietrza, wzrok biegnie daleko, odciąża. Dobrze będzie tu widzieli przed spektaklem i podczas przerwy. Nic z taniego przeowchu Teatru Wielkiego w stolicy, bez brązów, złocień, zmanierowane rozkwitły szklanych kandelabrow. Nawet żyrandole najskromniejsze: z matowych szklanych rur, zebra-nych w grona. Na ścianach gdzie-niegdzie zawisa tkaniny żakardowe. Tańsze od sobeliny. Oto plusy. Minus: batalionu sprzątarek trzeba będzie do utrzymania czystości.

Widownia. Proscenium, czysta bryła architektoniczna. Nie ma dosłownie ani jednego z trzystu miejsc, z którego byłoby widać dobrze całej sceny. Parter, amfiteatr z paru łóżkami, balkon. Mielkie fotele wyłożone spokoja szara tkanina, boazeria-rezonator w naturalnym kolorze drewna, zaś u sufitu forma-dziwo: ostre w bieli i w kształcie, jakby przerastających się wzajemnie kryształów, podwieszono pod stropem coś, przypominające najnowocześniejszą, abstrakcyjną rzeźbę. To „coś” ma trzy zastosowania: jest jedyną dekoracją plastyczną wnętrza, kryje główne oświetlenie widowni i spełnia zasadnicze role w utrzymaniu dobrej akustyki. Zaś od pierwszego rzędu krzesel w w przód, zaczyna się dziwy techniki.

Scena: szerokość 27 metrów, głębokość 22, pełna wysokość 33. Otwór sceniczny portalowy mierzy 10 na 14 metrów. Ale nie w ogromie smaku. W owych dziwach. Cała scena podzielona jest na sześć stref-zapadni dwupoziomowych. W nich jeszcze siedem małych zapadni dla pojedynczych osób. Zapadnia w kanale orkiestrowym: po uwerturze muzycy mogą zjechać w dół. To ruch w pionie. W poziomie: scena obrotowa. Nowatorskie rozwiązanie: składa się na pół, pionowo i w tej formie mieści w tylnej kieszce scenicznej, wielkości takiej jak scena główna. Tam można ją rozłożyć i na wózkach podwieźć na przód. Dwie wielkie kieszki boczne, w nich również wózki. Praktycznie: możliwość kilkunastu zmian dekoracji w ciągu jednego spektaklu, zmiana w ciągu paru minut. A teraz mała sensacja: obrotówka, wózki, zapadnie, wyciągi — całe urządzenie mechaniczne sceny, produkcji polskiej, niemal wszystko prototypy. Tylko urządzenia elektroakustyczne są z importu, wiedeńskiego. To oznacza oszczędność. Oszczędność jakże tu potrzebna — przecież adaptacja Teatru Narodowego na Operę to i przeróbka samych murów, i ten oszkolony most nad palcem, którym jechać będą dekoracje z warsztatów, i dostawiony boczny budynek, mieszczący pracownie i część magazynów. To forma doganiania finansowego tego, co musiało narosnąć na kontaktach kosztów przez 17 lat. A remonty zapleczka są prostym skutkiem ciągłego jego użytkowania już przez 4 lata, no i oczywiście „niedoróbek” budowlanych. W sumie: nie wszystko idealnie, ale jest

jakie jest. I trzeba będzie w tym gospodarować.

A teraz to, co najdramatyczniejsze — jak, czym i w jaki sposób gospodarować? Nadgrzyźliśmy te żaby. Jak będzie jej smak? Z żab nie kpiemy od dawna. Dobry towar, dewizowy. Jakże dochody społeczne da, dać może i dać musi Opera Łódzka? Gdy ja dwanaście lat temu otwierano, powodzenie miała ogromne. Premierowy „Straszny Dwór”: 139 spektakli, 88.918 widzów! Lec

Łodzi. Premier rocznie przygotować można pięć. I nie można nawet za-dać, by Opera „zarobiła” na siebie. To — utopia. Do kultury, szczególnie do tej formy kultury teatralnej, dopłacać trzeba żywą gotówką. I nie w gotówce szukać zysków, lecz w tym, co w nią włoża w formie osobistych przeżyć, ludzi, którzy widownię zapełniają mają.

I oto problem numer jeden: co zrobić, aby ją zapełnili? Na pewno Łodzi potrzebna jest reprezentatywna sala na uroczystości świat na-

knąć w ręce program, odegrać u-werturę i podnieść kurtynę. Rola żywego słowa, prelekcji, przygotowania do odbioru utworu — ogromna. Dalej — oddziaływanie w szerokim promieniu. Geograficznym. W praktyce: przywożenie, znów na „zorganizowana” widownię chemików ze Zgierza, górników z Łęczycy, w ogóle z zakładów odlewniczych, a dysponujących własnym transportem, względnie takich, dla których transport zbiorowy można zorganizować. Koszt? Tak, koszt. W zioł-tówkach.

Następny problem: Łódź do tej pory nie dysponowała ani jedyną salą wyposażoną technicznie bodaj tak, jak warszawski Teatr Dramatyczny. Omijały ją więc zarówno najsilnie-krajsze przedstawienia teatralne-krajsowe z innych miast, jak i wielkie imprezy zagraniczne, z Pagar-towskiego importu. Dziś jest scena, na której może zagrać i teatr Vilara i Shakespeare Memorial, na której również opłacalne będą importowane, a wysoki klasy, imprezy estradowe. Coś się nawet kroi w tym zakresie na własną rękę: Opera ma już umowy o współpracę z dwoma teatrami zagranicznymi, w ich ramach kilka osób przechodziło przeszkolenie techniczne w Lipsku.

Program własny? Nie rezygnując z wysokich ambicji artystycznych, z dania przynajmniej raz w roku premier, co do której to góry założymy, że „kasowa” nie będzie, może także Opera wystawiać musicale o wysokim poziomie, ambitniejsze operetki czy czolowe pozycje opery-buffo.

Albo to jeszcze nie wyczerpie całości sprawy. Z chwila wykończenia Opery Łódzkiej będzie istnieć w Polsce trzy sceny tego typu równorzędnej klasy. Dwie pozostałe to Warszawa i Poznań. Jest nie do pomysłenia ich współistnienie bez porozumienia i koordynacji pracy: repertuarowej, wymiany solistów czy całych przedstawień.

Jestem pod świeżym wrażeniem korespondencji z inżynierem, zamieszkałym w przemysłowym mieście amerykańskim, co do wielkości i struktury społecznej porównywalnym ściśle z Łodzią. Prosiłem go o przysłanie pewnego utworu amerykańskiego dramaturga amerykańskiego, Eugene O'Neilla. Mój korespondent najpierw usprawiedliwił się, że nie zna nazwiska O'Neilla, lecz w jego milionowym mieście nie ma ani jednego teatru... Następnie, po dwumiesięcznych poszukiwaniach, udało mu się uzyskać książkę, o którą prosiłem, w specjalistycznej księgarni w Nowym Jorku. Nie cytuję tego faktu dla tania satyry na amerykański styl życia, lecz jako prostą ilustrację tego, jakie skutki musi wywierać liczenie zysków tylko w gotówce. Łódź ponownie przeżywa szanse powstania się jej wielkiej wiosny kulturalnej lat 1945-46. Muzeum Łódzkie w naszych oczach przekształca się w placówkę, gromadząca takie skarby sztuki współczesnej, że włączenie jego zwiedzania do pobytów wycieczek i delegacji zagranicznych jako stałego punktu, wygląda zupełnie realnie. W tym samym czasie zyskuje Operę, która może stać się znakomitą. Dwie nasze szanse. Loteria, na której warto zagrać.

JULIUSZ GARZTECKI



z biegiem lat — spadek. Przedstawienia rekordowe: 1955 — Traviata: 62.052 widzów; 1957 — Madama Butterfly: 50.680; 1960 — Cyrulik Sewilski: 30.956, 1962 — Lakmé: 30.215; 1963 — Bal maskowy — 19.383. Przez cały czas swego istnienia Opera Łódzka dała 32 premiery. To dużo jak na warunki tej pracy. Ale frekwencja przecież spada. Najniższa zaś na przedstawieniach — najambitniejszych. Zaledwie dwie premiery nie były „tradycyjne”: pierwsza z nich to opera Malawskiego, bez sukcesu, druga: „Carmina Burana” Orffa i „Tajemnica Zuzanny” Wolf i Ferrari — 15 przedstawień, na nich zaledwie 4.649 widzów.

A teraz coś na przyszłość. Pełny personel Opery po jej uruchomieniu musi liczyć 800 osób w zespole: artystycznym, technicznym i obsługi. Administrację zredukowano do minimum. W jaki sposób widownia na 1300 miejsc zapłaci za 800 na, i za scenę? Pieniędźmi? Bez złudzeń. Nie wiadomo, ile będzie kosztować eksploatacja Opery. Wiadomo tylko, że dużo. Objądy są wykluczone: tylko scena warszawska oraz, przy pewnych adaptacjach, poznańska, pomieszcza dekoracje z

rodowych, wielkie kongresy, konferencje i zjazdy. To — kilkanaście dni rocznie. Co więc ma ściągnąć na widownię zwyczajnego, codziennego widza? I tu zaczyna się loteria. Można by zagrać w coś, co skrótowno nazywa się „programem Wodiczki”: nowe, ambitne pozycje, nowoczesny repertuar, najwłaściwsze pozycje literatury operowej XX wieku. No, ale przecież jedynie dwie takie pozycje w dwudziestolecie były „klapa” kasowa. Pytanie, czy przegrana kulturalna? Bo przecież i repertuar tradycyjno-klasyczny też w ciągu lat przynosił powolny, ale stały spadek frekwencji...

Wydaje się, że problem jest złożony i wielostronny. Opera Łódzka stwarza ogromne, nowe szanse rozwoju kulturalnego miasta. Ale tu nie obejdzie się bez głęboko przemyślanego programu i bez daleko idącej pomocy administracyjnej. Tak, właśnie administracyjnej! W języku teatralnym nazywa się to eufemistycznie „organizacją widowin”. Kryje się pod tym terminem zakupywanie ciałych przedstawień przez zakłady pracy. Czyli wprowadzenie na widownię nowego widza. Widza, któremu nie wystarczy wet-

Temat: kultura

Dalszy ciąg ze str. 1

Przedwojenna grupa „ar”, do której należeli (żeby wymienić tylko najważniejsze nazwiska) Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, Karol Hiller i Stefan Wegner, dokonywała istotnych przeobrażeń w polskiej sztuce, w poglądach na możliwości jej rozwoju. Z inicjatywy tej grupy doszło do założenia głównego już dziś w kraju (i za granicą) Muzeum Sztuki Współczesnej. Dlatego nie należy się dziwić, że obecne środowisko plastyczne w naszym mieście jest liczne i bogate w artystyczne talenty. Żywotność i dynamiczność środowiska plastyków widać przede wszystkim w tym, że uczestniczą oni w wystawach krajowych i zagranicznych, zdobywając nagrody i zyskując wysokie oceny. Ma w tym rozwoju swój udział również Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, która wśród absolwentów opuszczających rokrocznie jej mury, odkryła i wykształcała niejedyn talent znany dziś w Łodzi i w kraju. Coraz wyraźniejsze staje się „wejście” plastyków w życie społeczne. Kontakty z zakładami pracy, udany eksperyment plenerowy w Działoszynie i zamierzony w przyszłości, podobny plener w Skierniewicach, dowodzą niezbicie, że plastycy zaczynają wkraczać na tereny kontaktów z odbiorcą współczesnej sztuki. Godzi się jednak, gwoli prawdy, przypomnieć, że przeszłość zobowiązuje, i że istotny i rzeczywisty dorobek środowiska plastycznego, bywa niejednokrotnie tajemnicą pracowni i znawców, a miasto zbyt mało jeszcze czerpie z tych możliwości. Dlaczego?

Ma swoją dobrą przeszłość teatr Łódzki. I to nie tylko to przeszłość najbliższa, którą pamiętamy, ale i to przeszłość dalsza, wpisana w kroniki dziejów kultury. Można by, nadużywając nieco prawa do paradoksu, powiedzieć, że teatr Łódzki ma lepszą przeszłość, niż teraźniejszość. Nie przesadzamy o przyszłość, gdyż istnieją wszelkie dane, aby życie teatralne dźwignęło się na wyższy poziom i zajaśniało blaskiem najświetniejszych rezultatów. Ale przecież, jeżeli mówimy o pewnych niedostatkach w twórczości teatralnej, to jedynie dlatego, że właśnie nasze łódzkie teatry przyzwyczaiły nas, by stawić im wysokie wymagania i wiele się od nich i po nich spodziewać. Przeciwny poziom teatrów nie jest zły, to prawda, ale teatry Łodzi w najlepszych swych okresach, stoją zawsze powyżej poprawnego i wymaganego poziomu. Nie brak nam dobrych aktorów, nie brak sprężystego kierownictwa, i jeśli czegoś nie staje — to dobrze przemysłanemu repertuarowi i nienagannie jego realizacji. Przydałby się, i to bardzo, dopływ nowych reżyserów, z ustalonymi już nazwiskami. Dawanie szans młodym, początkującym reżyserom (Teatr Nowy), jest jak najbardziej słuszną, ale to nie wystarczy. Jeszcze do niedawna Łódź była, po Warszawie, najmłodszym ośrodkiem życia teatralnego w Polsce. Dziś wyprowadziła nas: Kraków i Wrocław, co dobrze świadczy o nich, ale co oznacza zarazem obniżenie naszych własnych lotów.

W przeciwieństwie do nauki i teatru, a podobnie jak ośrodek naukowo-universytecki, nie może odwoływać się do nazbyt ciekawej i bogatej przeszłości środowisko pisarskie. Co nie znaczy, że w Łodzi nie było pisarzy. Owszem, pisarze byli, i to wcale nie byle jacy, ale nie było większego środowiska i nie było rozwiniętego życia literackiego. Wiadomo, że przed wojną mieszkali w Łodzi Mieczysław Jastrun, Marian Plechal, Grzegorz Timofiejew (i jeszcze paru innych), wiadomo, że podejmowali oni wiele cennych inicjatyw (choćby próby wydawania czasopism literackich), ale trwało, duże środowisko pisarskie powstało w Łodzi dopiero po ostatniej wojnie. Cokolwiek by o tym środowisku, które podlegało tyłu przemianom w dwudziestolecie, po-

wiedzieć (a byłoby do powiedzenia sporo dobrego i złego), jedno zdaje się nie budzić wątpliwości: zwiększa się wciąż jego aktywność twórcza. Ilość i jakość wydawanych książek podnosi się z każdym rokiem, w czym trzeba dojrzeć także zasługi Wydawnictwa Łódzkiego, które już przez sam fakt swego istnienia, działa pobudzająco. A cóż dopiero, gdyby inspiracją jego była jeszcze bardziej pomysłowa. Wsklująca się od lat „Osnowa”, mogłaby pomóc środowisku pisarskiemu, czyli wzmocnić jego rolę czynnego uczestnictwa w modelowaniu socjalistycznej kultury. „Osnowa” jako stały, regularnie ukazujący się periodyk, mogłaby także stać się platformą, łączącą pozostałe środowiska twórcze. Byłaby wreszcie legitymacją przeżycia intelektualnej miasta. Same „Odrozłoty” tu nie wystarczą, bo wystarczyc nie mogą.

Czytelnik, który doczytał mój artykuł do tego miejsca, ma prawo zapytać: no dobrze, ale jakże jest z tym oddziaływanem instytucji i środowisk kulturalnych? Czy zwiększa się ilość ludzi, którzy chodzą do teatru, czytają książki, uczestniczą w imprezach artystycznych i stają się słuchaczami odczytów i spotkań literackich? Rosnące dynamice środowisk twórczych winna odpowiadać rosnąca dynamika kręgów odbiorczych. Kto od lat bierze czynny udział w życiu kulturalnym i obserwuje zachodzące procesy, nie może nie uznać, że pomimo rozmaitych wahań, odchyleń i krzyżów, ilość odbiorców dóbr kulturalnych wzrasta. Może postęp jest za powolny, może ilość nie zawsze przechodził w tak upragnioną jakość, jednak nikt nie zechce twierdzić, że tego postępu nie ma. Ale procesy te nie dokonują się same. Procesom tym trzeba pomóc.

Sądze, że w tym zakresie wiele jest jeszcze do zrobienia. Za mało na przykład, przyczyniła się do rozwinięcia wartości kulturalnych środowisk łódzkich — nasza telewizja. Niewatpliwie osiagniecia naszej telewizji w dziedzinie prezentacji widowisk teatralnych (fist ich w sumie więcej, niż dają łącznie Kraków i Katowice), nie powinny przestaniac nam faktu, że zwraca ona za mało uwagi na inne środowiska twórcze. Łódź —

plastyczne, muzyczne i literackie. Za mało, naszym zdaniem, zrobiła prasa codzienna (choć zrobiła wiele). Do postawienia tej sprawy upoważnia mnie obserwacja gazet w innych miastach (Kraków, Katowice, Wrocław), które śmieje i pełni „nawilają kontakt” ze środowiskami twórczymi. Nie gniewajcie się, kochani, lecz tak jest na pewno. Oczywiście, kępuje was nadmiar zadań do wypełnienia, a zarazem nie odpowiadająca im szczupłość łmów gazet. Zgoda. Lecz i w tej sytuacji musimy zadziałać wspólnie na rzecz poprawy kulturo-twórczego stanu posiadania.

Innym problemem, który opóźnia, albo powiedzmy może: osłabia dynamizm życia kulturalnego, jest problem — dawniej mówiono: kadrowy, my powiemy: personalny. Chodzi o to, by w dziedzinie upowszechniania kultury pracowało więcej jeszcze ludzi solidnie wykształconych, światłych, rozumiejących skomplikowaną dziedzinę współczesnej sztuki i literatury. A także o to, by nadać działaczowi kultury odpowiednią rangę społeczną. W kulturze, może bardziej niż w innych dziedzinach pracy, walczyć człowiek potrafi zdziałać najwięcej. Powołujemy działaczy kultury na właściwe miejsca i doceniajmy znaczenie ich pracy.

Nad wszystkim jednak górniję i o wszystkim rozstrzyga aktualna polityka kulturalna. Jaka jest ta polityka kulturalna i ku czemu zmierza — to zagadnienie osobne, którym zajmujemy się przy następnej okazji.

JAN KOPROWSKI

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

JAN BABIŃSKI

BOŻEK NIE TYLKO PABIANIC

Czy pan gra w totka?
Urządnik jednego z du-
żych zakładów przemy-
słowych w Pabianicach
spojrzał na mnie ze zdzi-
wieniem:

— A dlaczego miał-
bym nie grać. Wszyscy
moji znajomi grają w to-
tka.

U nas w biurze organi-
zowaliśmy dużą spółdzielnię.
Gramy systemem tak, że każ-
dego tygodnia wypełniamy
50 kuponów. Wczoraj była
moja kolejka, siedziałem
nad kuponami do północy...
W naszej firmie jest kilka
takich spółdzielni, każda gra
swoją metodą...

Wypełnić 50 totkowych ku-
ponów! Hm, to jest dopie-
ro gratka, która musi na-
pełniać nieklamany zachwy

tem, może też wzruszeniem
każdego śmiertelnika o du-
ższy rasowego gracza. Totali-
zator sportowy. Wielkie, co-
tygodniowe misterium, w
którym, o ile dobrze się zo-
rientowałem, uczestniczy kil-
ka tysięcy pabianiczian. Jed-
no uderzenie, drugie, trze-
cie, będziemy bić w ten
dzwon, tak długo będziemy
w niego walić, spódniczym
wysiłkiem, aż plunie nam
milionem pod nogi...

Czy pan gra w totka?
Już emerytowany tkacz
przyszedł:
— Gram. Wszyscy grają.
Właściwie to gra moja cór-
ka. Stawiamy każdego tygod-
nia po 40 złotych. Dotychczas
nie jestem przegrany, wycho-
dzę na swoje. Ale o duży
wygraną będzie trudno. Pa-
bianicze wyczerpały swój li-
mit. Już 3 osoby w tym
mieście wygrały po prawie
całym milionie...

Zamajaczył ślad.
Pabianicze mają 3 totko-
wych milionerów. Trzeba ko-
niecznie zastępną języka.
Trzeba będzie wydeptywać
chodniki w ludnym i ruch-
liwym mieście, stukać i bu-
kać, aż ten ślad zaprowadzi
mnie do jednego chociażby
z tych szczęśliwych milio-
nerów. Czy są oni istotnie
szczęśliwi? Przypomniało mi
się zdjęcie z zachodnioe-

mieckiego tygodnika „Der
Spiegel”. Fotografia była
duża. Na tyle wyraźna i os-
tra, że tym pełniej uwydat-
niały się walory przedsta-
wianego na niej mężczyzny.
Jego twarz, dobrze odży-
wiona, miała pełną iskrę
erhardowską, dobrze odży-
wioną twarz. Rozpływał się
cały w uśmiechu. Tylko, że
ten jowialny, dobroduszny,
uśmiech obnażał pewien is-
totny brak urody. W otwar-
tych ustach hamburczyka
tkwił jeden, jedyny zab. Ten
przedni. Mocno do tego sfa-
tygowany. Pod zdjęciem a-
mieszczono „story” — opo-
wiść o szczęśliwcu, który
wygrał na loterii pół milio-
na marek — przeszło 100 ty-
sięcy dolarów. Hamburgczyk

— tym przednim. Symboliz-
nym.

Pabianicze mają 3 totkowych
milionerów.
Rozmawiałem z kim popa-
dło. Rozmawiałem w biur-
kach, na ulicy, w fabry-
kach. Szukałem. Szperałem.
W totka grali niemal wszy-
scy. Jedni przyznawali się
do tego od razu. Inni zwle-
kali, jakby się czegoś wsty-
dząc. Jeszcze inni kierowa-
li się własną filozofią. Dro-
gą panią, mówi się — pic-
niądź co on daje, spytajmy
lepiej czego nie daje w na-
szym kraju... Więc kto sta-
wia na totka? Ludzie, któ-
rzy sądzą, że zmarnowali
swoje lata, którzy po dłuż-
szej zadumie poszli do prze-

Zagraj w totka!
Milionerze gdzie jesteście?
Wolnego, totka jak wsoch
nie bóstwo. Tajemnicę nie
ujawnia, adresów nie poda-
je. To bożek zazdrosny o
swe sekrety, choć jest też
dobroduszny i uśmiechnięty
jak cejlowski Budda. Cierpli-
wości, proszę pana... To cier-
pliwość przyniosła pewnego
dnia swój owoc. Mam dobrą
wiadomość. Odszukałem jed-
nego z pabianickich milio-
nerów. Usiadłem w skąpo
umeblowanym pokoju, na pię-
trze, tuż przy oknie z które-
go widać kilkanaście komi-
nów fabryk dużych i ma-
łych, po części ubiegłowiecz-
nych. Zaraz zajął się milio-
ner. Usłyszałem o nim
dużo. Prawie wszystko, co
mogłoby być ciekawe. Wiem,
że wygrał przed trzema la-
ty 860 tysięcy złotych. Przez
dwa lata żył jak urzeczni-
ca, jak emir Kuwejtu... Po
tem cichy, spokojny, no i...
splukany, powrócił skąd był
wyszęd... Powrócił do jed-
nej z pabianickich fabryk,
gdzie pracował już przedtem.
Haruje teraz w polu czo-
ła, przy dymiących kominach
za ileś tam złotych miesięcz-
nie.

Milioner, przepraszam
był milioner zjawiał się tylko
na parę minut i zaraz wy-
parował.

Miał wyraz zażenowania
na twarzy, jego oczy spogla-
dały na mnie nieufnie, bar-
dzo podejrzliwie. Czyżby
od niego? Po co zakłócam
jego spokój? Z jakich powo-
dów wywołuję duszy prze-
szłości, które odeszły i już
nigdy nie wrócą. Chociaż,
kto wie... Farbiarz gra dłu-
żej. Gra z uporem mania-
ka. Gra według własnego syste-
mu, gra razem z żoną, któ-
ra ma różne pomysły, huc-
 może, jeden okazał się zno-
wu szczęśliwy. Farbiarz spo-
gląda na mnie bez słowa.
Siada na samym brzegu krze-
sla. Wyczuje. Wreszcie w
jego oczach migają iskierki,
odżyły jakby wspomnienia:
— Panie, żyło się, żyło...
jak się żyło! Ila było kump-
pli, Ila nagle się miało przy-
jaciół, wszyscy poklepywali,
wszyscy czatowali... Ale nikt
nie dał mądrej rady co zro-
bić z tymi pieniędzmi, no i
rozszedł się. Pan wie jak to
jest...
Jednodniowy milioner już
odeszł.

Poczułem do niego sym-
patie. Nawet szacunek. Wygrał,
Ale umiał również prze-
grać. Nie zamamlał się, nie
rozehorował, nie przygarbił
i nie w nim nie pękło, choć
stracił prawie milion. Żywy,
szelący się pieniądz rozszedł
się już nie wiadomo na co.
Farbiarz szybko się jednak

podziwiał. Wszedł z po-
wrotem w stara skórę, jak
się zdaje, bez żadnych kom-
pleksów. Pracuje przy maszy-
nie, przy której pracował u-
przednio lat kilkanaście i
gra. Tak, gra z pasją, z za-
cięciem, wierzy w swoją
gwiazdę.

Stoję teraz przy głównej
ulicy Pabianic, przed głów-
ną siedzibą pabianickiego
totka.

Wiem, że ta pani za kon-
tactorem ma bardzo szczęśli-
wą rękę. To ona sprzedaje
kuponów trzem milionerom.
W piątek ruch jest tutaj naj-
większy. W małym sklepiku
taki tłok, że trudno się do-
cisnąć. Piątek, dzień postny.
Ten dzień, czczą nie tylko pa-
bianiczanie oddaniem holdu
bożkowi. Chyła głowy przed
totkiem. A w niedzielne po-
południe, miast zatopić się
w nabożnej kontemplacji
nad nicością rzeczy i uludą
mamony, wsłuchują się w po-
gańskim skupieniu w słowa
radiowego komunikatu. Pad-
nie ta przeklęta szóstka, czy
nie padnie?

W niedzielne popołudnie przy
radiodzielnikach ślada kil-
ka milionów obywateli z go-
raczką w oczach i wypieka-
mi na twarzy.

Oni grają — oni chcą wy-
grać.

Czy pan gra w totka?
No i cóż z tego, jeśli ktoś
gra w totka? W Łodzi i wo-
jewództwie co tydzień w tot-
kowej świątyni odprawia mo-
dy w przepisanym rytuale
ponad 150 tysięcy dorosłych
ludzi. Nie ferujemy wszakże
wyroków zbyt pochopnie.
Problem jest zagmatwany i
jak każdy ma swoje dwie
strony. Byłoby nonsensem
wycyfrować z ruchu samocho-
dy dlatego, że na Piotrkow-
skiej zdarzył się nieszcześli-
wy wypadek. Byłoby także
nonsensem zamykać restaura-
cje, bo w pewnych barach
pewni ludzie piją za dużo.
Byłoby bzdurą rzucić gro-
my na złotego bożka w tot-
kowym królestwie dlatego,
że niektórzy najwyraźniej
się przed nim hazardują. To-
tek ma swoje plusy i minusy.
Uprawiany w miarę do-
brze być może rozrywka. Bieda
w tym, że granica oddziela-
jąca rozrywkę od hazardu
jest diablo cienka.

Wielu już ją przekroczyło.
Powiem wprost. Pabianic-
kie spółdzielnie totkowe,
których w tym grodzie jest
ponoć bez liku, bardzo niepo-
koją. Pachną nie tylko ma-
fią. Pachną nade wszystko
przedziwnym spryszczeniem
grona osób, z których każda
postanowiła zostać milione-
rem.
Takim jednodniowym.

Od 1963 r. do czerwca roku bieżącego Przedsiębior-
stwo Państwowe „Totalizator Sportowy” w Łodzi po-
kryło w ponad 50 procentach koszty budowy i rozbudo-
wy 33 obiektów sportowych w samej tylko Łodzi. Fi-
nansowanie tych inwestycji pochłonęło 30 milionów
złotych. Przedsiębiorstwo uczestniczyło również sumą
25 mln zł w budowie 45 obiektów w województwie łódz-
kim. Prócz tego łódzki „totek” skierował w ostatnich
latach 25 milionów złotych na inne cele, w tym na za-
kup sprzętu sportowego dla wielu klubów.
Łącznie na inwestycje „totek” przekazał 80 milionów
złotych.

W tym samym czasie wpływy łódzkiego „totka” prze-
kroczyły jednak 220 milionów złotych. Z tego 110 milio-
nów skierowano do Warszawy jako, że wygrane są
opłacane ze szczebla centralnego. Tyle bilans. Brakuje
w nim 30 milionów złotych, które Łódź oddała, albo
inaczej, które musiała oddać na potrzeby innych
osrodków. Między innymi z kwot wygospodarowanych
przez łódzki „totek” inwestuje się w Koszalinie, Bia-
łymstoku, w wielu innych miastach.
Tak każde szczebel. Oczywiście centralny.

robotnik portowy trafił
w dziesiątkę. Otworzyła się
przed nim pełnia życia, o
jakiej marzy się w duszne
noce lipcowe.

Lazurowe Wybrzeże, luksu-
sowe hotele, luksusowe merce-
desy, luksusowe kobiety.
Pewnego dnia doker się
przebudził.

Ocknął się splukany do
szczętu. Być może, przypomi-
niał sobie pradawną maksy-
mę biblijną — „Jakoś nago
przyszędł na ten świat tako
nago się wróci, a wszystko
ostawisz...” — Hambur-
czyk ostawił wszystko już
za życia, które było burzli-
we. Ale wszystko przez je-
den rok. Było tak burzliwe,
że uśmiechnięty doker nie
zdażył sobie wstawić sztucz-
nych zębów. Kiedy przyszedł
do siebie, nie miał nawet
kilkudziesięciu marek przy
duszy. Wic straszyl na zdję-
ciu jednym jedynym zębem

świadczania, że ani matura,
ani dyplom, ni choć szczer-
a, ani uśmiech dyrektora, a już
najmniej praca tylko uś-
miech losu i ślepy przypa-
dek decyduje o wszystkim?

Może obywatele przemys-
łych Pabianic upatrują w
totku zwykłą rozrywkę i
odprężenie?

Nie wiem. Nikt chyba te-
go nie wie.
Czym jest totek? Zabawą
czy hazardem? Naktoty-
kiem? Czy niebezpiecznym
nagliem? Gigantycznym, na-
rodowym cyrkiem? Karuze-
lą? Czy może tak potrzeb-
nym relaksem? Może jest
psychiczna kuracja tak sa-
mo potrzebną w tych nerwo-
wych czasach jak kogutek
na ból głowy? Cierpięz
na modną dziś frustrację, u-
ważasz, że stoisz w miejscu,
że nie posuwasz się ani o
krok, że cię nie donosi, że
się windują się łobuzy i
sprytli karłowicze?



KRZYSZTOF POGORZELEC

TARGI TYSIĄCLECIA

Most powietrzny Paryż — Ber-
lin — Londyn — Moskwa — War-
szawa. Samochody z zagraniczy-
mi rejestracjami, ulice wypucowa-
ne na wysoki połysk, nawet neony
przesłaniają się jakże, hotele — on-
ly etranger, czyli Polonusom wstęp
wzbroniony z braku dewiz. Kel-
nerzy wyładowali świeże kitle,
wszystko specjalnie; szczegó-
lnie ceny. Tylko raz w roku spo-
kójny i nieco mieszczański Poznań
ogarnia amok: TARGI. Tym razem
— już po raz XXXV. Ale — po-
nięktórzy nie zapomnieli, że to Mil-
lenium. Włęcz w prospektach rekla-
mowych leży się od księcia Przemys-
ława I i roku 1253, JARMARK
TYSIĄCLECIA. Byliśmy, ogląda-
liśmy, relacjonujemy. Printed by
„ODGŁOSY”. Czytajcie, jeśli
przyjdzie ochota...

bowie trwania XXXV Międzynaro-
dowych Targów Poznańskich biura
receptyjne turystyczne i kasy tar-
gowe odnotowały około 300 tys.
przybywców z różnych kraińców Pol-
ski, a Zarząd MTP sądzi, że łącz-
nie biorąc, frekwencja na terenach
wystawowych przekroczy znacznie
pół miliona zwiedzających.

Co ślaga tych ludzi na ten wy-
betonowany skrawek Poznania?
Różne sprawy, i różne interesy.
Można ich łatwo odróżnić. „White
Collar” — czyli białe kołnierzyki, to
ludzie handlu, wyznawcy bożka
Merkurego, dla których śnieżnobiała
koszula i krawat nawet w 35-stop-
niowym upale to obowiązujący mun-
dur wielkiego handlowego interesu.
Bo business trzeba podać w ładnym
i estetycznym opakowaniu, przy ka-
wie, dobrych papierosach, a jeżeli
można i kiesy staje, to nawet z od-
powiednim „suwenirem” dla klien-
ta, na którym tak bardzo wszyst-
kim tutaj zależy, dla dobrego klien-
ta zasobnego w dewizy. Na tym po-
znańskim skrawku betonu odbywa
się wielka handlowa wojna. Kupić,
sprzedać, pośredniczyć. ZAROBIC.
Często nie tylko na czystym towa-
rze, ale także na sprzedaży tego, co
przeżyły już biura konstrukcyjne
i tutaj na witrzynach wystawowych
pokazuje się w skromnych „opako-
waniach” dokumenty licencyjne, na
fabryki, maszyny, na wszystko to,
co jest współczesnym światem. Wiel-
ki interes: tylko w ciągu pierwszych
7 dni XXXV MTP obroty przekro-
czyły 12 mln. złotych dewizowych
to znaczy około 3 mln. dolarów...

Magnes. To także element cieka-
wości, który wabi tutaj ludzi tak-
omych i „wielki świat”, na jego
złudne kolory tak przecież łatwe do
osiągnięcia, wystarczy tylko dostać
któryś ze szczytów rozdawanych

prospektów czy też reklamowych
świadczeń. Gdzieś w duszy, u po-
nięktórych, tli się jakaś wąlla
nadzieja: — a może coś sprzedadzą?
A potem, wieczorem moczają zmęco-
ne nogi w targowej sadzawce i ogła-
dają z trudem zdobyte w alei kier-
maszowej pudełka polskich ekspor-
towych szprotok — Made by „Ani-
mex” takie same jak w kiosku w
Kutnie, w Kolutkach czy Bożen-
cinie.

Wreszcie jest jeszcze trzecia grupa.
Łatwo ich rozpoznać. To ludzie z
aparaturami fotograficznymi, notatni-
kami, nie oszczędzający swoich
czarnych wizytowych garniturów, by
zobaczyć i poznać, dlaczego właśnie
w tą stronę kręci się owe „coś” w
tej nowoczesnej maszynie. Łowcy
i hobbyści techniki dla których Tar-

gi to kurs wyższej jazdy w kra-
je techniki XXI wieku. Chyba naj-
szlachetniejszy gatunek spośród
zwiedzających i obecnych na ter-
nach targowych.

Modelkami są tutaj maszyny, cza-
sami drobne elementy maszyn czy
też coś, co służy do produkcji współ-
czesnych robotów. Koncern Kruppa
przywiózł z sobą najtwardsze z mo-
dliwych stopów „vidia”, a obok po-
kazuje wszystko to co powstaje w
jego hutach i zakładach w Essen,
w Zagłębiu Ruhry. Technika i je-
szcze raz technika. Niekiedy na-
wet mówią — jarmark techniki.
Nie tyle jarmark co przegląd naj-

nowocześniejszych zdobyczy i zara-
zem wielka wyprzedaż obrabiarek-
kolosów, statków i samolotów, nie
wylaczając polskiego odrzutowca
„Iskra” konstrukcji prof. Sołtyka
i śmigłowca „Mi-2”, napędzanego
przez dwie turbiny gazowe, zdolnego
do transportu pasażerów, chorych,
do pracy w rolnictwie. Brać, wy-
brać i kupić! Na mendle, grossy i
pęczki.

Tradycyjnego kupca zastąpił przy-
stoisku wysoko wyspecjalizowany
inżynier, fachowiec od komputerów
i mózgow matematycznych, laserów
— i Bóg wie jeszcze czego. To „coś”
co wygląda na dobrą sprawę jak
epidioskop do przesświetlania jasek
faktycznie jest najnowocześniejszą
konstrukcją Biura Techniki Jądrow-
wej w Warszawie, laserem, które-



Fot.: CAF — Staszyszyn

EWA SIEMIŃSKA
O wstępnych egzaminach bez mistyfikacji

Młodzieńca jest nasza ŁÓDZKA ALMA MATER. Liczy sobie dopiero dwadzieścia jeden lat. Dwadzieścia jeden razy upalnie zawzyczał lato przynosiło gorączkowy ruch na uniwersytecie, atmosfery nadziei, oczekiwania, spełnionych nadziei lub wielkiego zawodu, radości i ulgi albo żalu i wstydu. Czerwiec i lipiec to przecież miesiące egzaminów.

Nie nikną „głedy” pod drzwiami zdających. Ledwo bowiem skończyła sesję egzaminacyjną studentka — zaczynają się egzaminy wstępne, wielka próba życiowa dla młodych, nie zawsze pewnych, co ze sobą zrobią. W tym roku będzie ich na studiach stacjonarnych naszego uniwersytetu 3.700. 2.500 musi odpaść na egzaminach lub w wyniku dalszego postępowania kwalifikacyjnego. Uniwersytet może bowiem przyjąć jedynie 1.215 kandydatów. Dwa i pół tysiąca zawiedzionych, rozgoryczonych młodych ludzi. Nie wszyscy potrafili za godnością przystać swa porażkę. Niestety, co roku zdarzają się tacy, którzy swoje niepowodzenie usiłują pokryć nieprawdopodobnymi opowieściami o egzaminach i trybie przyjmowania studentów. Co gorsza, w obawie przed opinią swojego środowiska wtrącają im często rodzice. Plotka wędruje w świat. W ten sposób na rasta legenda wokół egzaminów wstępnych. Niedobra legenda, utka na z kłamstw, z oszczerstw tych, którym się nie powiodło, zrodzona z braku godności, z fałszywie pojętego wstydu, ze złości i zawiści.

Spotyka się później „wtajemniczonych”, którzy doskonale „orientują się”, ile to tysięcy kosztuje przyjęcie na taki, czy inny wydział. — Pan X zapłacił w tym roku tyle a tyle, zobaczy pani, że jego syn będzie przyjęty. Mój nie dostał się w zeszłym roku, nie mieliśmy pieniędzy... Czasem nie kończy się na niskiej płocie. W ubiegłym roku do uniwersytetu złożył się pewien tatusz uszczuplony, ale załatwił w sprawie uszczuplenia zawartości załatwił przyzwoicie, że uszczuplony, tłumaczono mu, że uszczuplenie jest konieczne, że obraża uniwersytet i działających na jego rzecz ludzi. Nie pomagało — tatusz ów był uparty. Dobro argument, że wieszcie się Milię, zmusił go do wycofania się razem z kopertą.

Ludzie! Rodzice i kandydaci! — opamiętajcie się! Nie wierzcie plotkom i oszczerstwom. Może garść faktów i cyfr, które przytoczę tutaj, pomoże wam otworzyć oczy na te sprawy. Nie ma, nie może być i nie będzie protekcji w przyjmowaniu na studia — gotówkowej ani żadnej innej. Przyjęty tryb postępowania wyklucza taką możliwość. Niech przekonają was o tym konkretne dane.

Egzaminy wstępne składają się — jak wiadomo — z dwóch części: egzaminów pisemnych i ustnych. 2 lipca kandydaci zdają pisemny egzamin kierunkowy (np. z historii na prawie, z literatury polskiej na polonistyce, z matematyki na matematyce, z biologii na biologii itp.). 4 lipca odbywają się egzaminy ustne z języka obcego. Egzaminy ustne kończą się 15 lipca. W jednym i drugim przypadku (egzaminów pisemnych i ustnych) egzaminatorami są pracownicy naukowi uniwersytetu. Oni też pracują w pocie czoła (to nie przenośnia, lecz fakt autentyczny) w komisjach rekrutacyjnych. A przecież być pracownikiem naukowym oznacza także posiadać określona postawę etyczną. Zresztą nikt z nich nie ryzykowałby swojej kariery naukowej dla nielegalnej spekulacji. Poza tym — o przyjęciu na studia wyższe decyduje nie jedynostka, lecz kolekcja i to na dwóch szczeblach: Wydziałowa i Uczelniana Komisja Rekrutacyjna. Jakże są kryteria, według których przyjmują się lub odrzuca kandydatów? Są to kryteria dwójakiego rodzaju:

- wyniki egzaminacyjne oraz dodatkowe kryteria kwalifikacyjne.**
- Jedne i drugie są wymierne — mierzy się je ilością punktów. Skala ocen obejmuje, jeśli chodzi o egzaminy kierunkowe (pisemne i ustne) — ostatnie ocena łączna) siedem stopni:
- | | |
|-------------------|------------|
| 1) bardzo dobry | 12 punktów |
| 2) dobry + | 9 „ |
| 3) dobry | 7 „ |
| 4) dostateczny + | 5 „ |
| 5) dostateczny | 4 „ |
| 6) dostateczny - | 1 punkt |
| 7) niedostateczny | 0 punktów |

Z języka obcego — 4 oceny: na kierunkach humanistycznych

| | |
|-------------------|-----------|
| 1) bardzo dobry | 6 punktów |
| 2) dobry | 3 punkty |
| 3) dostateczny | 1 punkt |
| 4) niedostateczny | 0 punktów |



- na kierunkach technicznych, rolniczo-lesnych i matematyczno-przyrodniczych
- | | |
|-------------------|-----------|
| 1) bardzo dobry | 4 punkty |
| 2) dobry | 2 punkty |
| 3) dostateczny | 1 punkt |
| 4) niedostateczny | 0 punktów |

Wyniki egzaminów wstępnych są podstawą postępowania kwalifikacyjnego. Dodatkowe kryteria kwalifikacyjne (dodatkové punkty) przysługują:

■ Jeśli kandydat otrzymał co najmniej dobrą ocenę z przedmiotu egzaminacyjnego w klasach X, XI i na świadectwie maturalnym — otrzymuje punkt dodatkowy. Ponadto egzaminy obejmują 3 przedmioty, kandydaci mogą za wyniki w nauce otrzymać 3 punkty dodatkowe. Odnosi się to do tegorocznych absolwentów liceów ogólnokształcących lub średnich szkół zawodowych.

Absolwenci z lat ubiegłych mogą otrzymać 2 punkty dodatkowe, jeśli wykaza się udokumentowanym co najmniej 6-miesięcznym stażem pracy zawodowej i ubiegali się w latach minionych o przyjęcie na ten sam kierunek, przy czym uzyskali pozytywne wyniki z egzaminów wstępnych.

Kandydatom odbywającym zasadniczą służbę wojskową, którym okres odbywania służby kończy się jesienią br. zalicza się w toku postępowania kwalifikacyjnego również 2 punkty dodatkowe.

Kandydatom pochodzącym z rodzin robotniczych lub chłopskich zalicza się w toku postępowania kwalifikacyjnego 3 punkty dodatkowe.

Nie wszyscy kandydaci przejdą przez cały tok postępowania kwalifikacyjnego. Ci, którzy z dwóch egzaminów pisemnych otrzymają ocenę niedostateczną, nie będą dopuszczeni do egzaminów ustnych, odpadają automatycznie.

Z dalszego postępowania kwalifikacyjnego odpadają ci kandydaci, którzy z któregośkolwiek przedmiotu egzaminu wstępnego uzyskali ostatnią ocenę niedostateczną lub z dwóch przedmiotów otrzymali oceny dostateczne minus.

W ten sposób kandydaci poddani zostają wszechstronnej, precyzyjnej i sprawiedliwej ocenie, wymiernej dzięki omówionym wyżej obliczeniom. Ta matematyka jest najlepsza gwarancją. Jest ścisła, nieublagana, surowa, obiektywna.

A inne cyfry? Największy hok panuje na prawie: na 180 miejsc zgłosiło się prawie 800 kandydatów oraz na pedagogice: 15 miejsc — 116 kandydatów. Ale i na innych kierunkach jest niewesoło. Nic dziwnego — wyż demograficzny. Tak więc:

| | | |
|--------------------------|------------|----------------|
| — filologia polska | 100 miejsc | 263 kandydatów |
| — filologia rosyjska | 25 „ | 121 „ |
| — filologia niemiecka | 25 „ | 84 „ |
| — filologia angielska | 25 „ | 97 „ |
| — historia | 50 „ | 128 „ |
| — archeologia Polski | 10 „ | 24 „ |
| — matematyka | 150 „ | 240 „ |
| — fizyka | 90 „ | 126 „ |
| — chemia | 75 „ | 164 „ |
| — biologia | 110 „ | 430 „ |
| — geografia | 30 „ | 139 „ |
| — geometria | 40 „ | 74 „ |
| — ekonomika przemysłu | 120 „ | 399 „ |
| — ekonomika handlu wewn. | 80 „ | 231 „ |
| — ekonomika handlu zagr. | 50 „ | 99 „ |
| — socjologia pracy | 40 „ | 157 „ |

Niektórzy są dowcipni. Piszą w życiorysach:
 „Urodziłam się wtedy a wtedy, a godz. takiej a takiej... Tata powiedział:
 — Czegóż tak brzydkiego i czarnego w życiu nie widziałem. Ale od czego była w domu babcia? Wy tłumaczycie!
 — Poczekajmy, ino toto подроśnie, to wyładnieje. No i подроśnie. Czy wyładniałam — nie wiem.”
 „Po ukończeniu Liceum Bydgoskiego ukończyłam do Liceum (było to moim marzeniem). Zdałam, wobec powyższego strasznie szczęśliwa, że i dla mnie tak samo „świeci słońce” jak i dla innych, rozpoczęłam naukę w liceum. Można powiedzieć, że dopiero tutaj od klasy X zaczęły się prawdziwe trudności (mam na myśli szczególnie matematykę). Jednak przy pomocy Kochanej Profesorki, Boże! i mojej własnej, otrzy mamam Świadectwo Dojrzałości!”

„Ze swej strony dołożę wiele, postaram się dać z siebie wszystko, choć wiem, że to niewiele. Nie mogę być jednak tak pesymistycznie nastawioną do życia. Sama sobie życie pomysłowych egzaminów, co będzie dalej — na to pytanie odpowie mi życie.”
 „Byłam dzieckiem miłości, niepamiętałam i sprzeciwu” (kandydatka urodziła się w ostatnich dniach wojny).
 „(...) Nie znaczy to jednak, że jestem leniwa, o nie!”

Czasem kandydaci korespondują z Rekrutacją. Jednemu z nich wysłano zawiadomienie o brakujących dokumentach. Doszukał się w tym kobiecej przewrotności. „Domyślam się (z podpisu), że jest pan kobietą. (...) Przesyłam wypełniony białki, że rodzice nie posiadają gospodarstwa rolnego. Jeżeli chodzi o mnie, to ośmielam się wątpić w celowość niniejszego zaświadczenia”. Odpowiedź z Rekrutacji: „Mimo iż jestem kobietą (jak słusznie się Pan domyślił) nie przeoczyłam załączonych przez Pana zaświadczeń... itd.”.

Bywają jednak całkiem niezabawne, oburzające wyrzuty. W ubiegłym roku jedna z kandydatek, córka dyrektora, chce koniecznie otrzymać dodatkowe punkty za pochodzenie tłumacza, że ojciec jest dyrektorem z awansu, bez wykształcenia, że to „straszny cham”, należy więc uznać, że jest pochodzenia robotniczego... Jak można tak się poniać, tak upokarzać! Pisze to przy szłym kandydatom ku przestrodze.
 Na tym kończą garść uwag o egerz minach wstępnych. Życze wszystkim kandydatom przysłówowego zła: niech im się nie uda, aby przetrwali, niech im się nie uda, aby przetrwali, niech im się nie uda, aby przetrwali.

go wiązka promieni tnie jak masło najtwardsze z twardej metali, oddając tym samym ogromne przyrosty współczesnego przemysłu, znacznie przyspieszając pracę. Tak, tak, „promienie śmierci” z fantazji Verne'a i Wallace'a na usługach współczesnego człowieka, i to w dodatku w eksportowym opakowaniu i z odniesieniem do domu.

Rewia techniki. Ta w wydaniu zagranicznym, to chociażby francuska aparatura do kolorowej telewizji systemem SECAM, najnowocześniejsza międzynarodowa rewia samochodowa, o której jeszcze będziemy tutaj mówić, ale także olbrzymi popis biuro konstrukcyjnych i projektowych wszystkich 48 państw uczestniczących w tegorocznych Targach.

Każdy przywiózł tutaj to na co było go stać, czym się chciał pochlubić przed innymi. ZSRR — może elektroniczne „Kijew” a tuż obok rubinowe lasery. Polska „Iskra” miała bardzo poważnych konkurentów w ekspozycjach „Aviakosmos”, który po raz pierwszy oferował do sprzedaży 10 typów najnowocześniejszych samolotów i helikopterów, a wśród nich międzykontynentalny „Lajmer” pasażerski — „IE-62”, „TU-134” i „AN-24”. W stoiskach innych krajów socjalistycznych — NRD, CSRS, Bułgarii, Jugosławii, Rumunii i Węgier można było z łatwością znaleźć wiele technicznych rewelacji, jak choćby maszynę tkacką o wysokim stopniu automatyzacji i wydajnościach wielokrotnie przewyższających obecnie używane maszyny. Znana firma Carl Zeiss z Jony przywoziła do Poznania aż 10 nowych modeli swoich mikroskopów, nie wyłączając rewelacji na miarę światła — mikroskopu z górnym oświetleniem, który otrzymał Złoty Medal na Targach w Lipsku. Nasi goście z zachodu i południa obok maszyn do automatycznej pakowania, prasowania i prania w parowni amerykańskim zaprezentowali znowu coś co może produkować wszystko i dla wszystkich, coś co dla laika techniki jest tylko zespołem maszyn, a faktycznie wielkim kombinatami włókienniczymi, petrochemicznymi, wartości wielu milionów dolarów, rubli, franków szwajcarskich.

Egzamin z techniki. Ten sam egzamin zdawaliśmy i my — Polacy wobec naszych gości zagranicznych. Jakim więc stopniem zakończyła się dla nas ta rywalizacja? Z satysfakcją można powiedzieć, że w wielu dziedzinach mogliśmy śmiało konkurować z najbardziej wytrawnymi w konkurencjach technicznych. Nasza liczna rodzina maszyn matematycznych — „Odra 1013”, „Odra 1204” oraz analogowe maszyny typu „Ekwat” były dobrą wizytówką dla polskiego przemysłu elektronicznego i w ten sposób potwierdziliśmy opinię, która wydała nam się tylko senator Helmut Kern z hanzeatyckiego Hamburga ale także to co wcześniej jeszcze wypowiedzieli członkowie senackiej komisji USA, bawiaczy w ubiegłym roku w Polsce, a co następnie opublikowali na swoich łamach „New York Times”: dajcie Polakom tylko dużo rozważnych „śrubek”, a za niedługą do my będziemy się od nich uczyć jak robić elektroniczne mózgi!

Technika zajmowała w polskiej ekspozycji najwięcej miejsca i po raz pierwszy dominowała w niej nie tylko waga i wielkość ekspozycji, ale przede wszystkim precyzja. Nie potrzebujemy się wstydić obrabiaczki z programowaniem wielkich transformatorów z łódzkiej „Ety”, które znajdują swoich odbiorców w Indi, Australii, Francji, w NRD, w NRF i we Włoszech. Do bardzo udanych koncepcji należy zaliczyć pierwszy polski wóz transmisyjny TV, a przede wszystkim około tuziemców przyciągały modele statków, baz rybackich, przetwórci ryb, drobnicowców oferowanych przez polskie stożce obcym armatorom. Przepomnijmy sobie: 5 miejsc w ekspozycji i 8 w budowie zajmują polski przemysł stożcowski w światowych tabelach.

Alto dość tych wliczeń. Może warto zacytować pewną dziennikarską rozmówkę jaka zdarzyła się na targowych terenach: W Poznaniu bawił generalny pełnomocnik Koncernu Kruppa, — Berthold Beltz. Po zapoznaniu się z ekspozycją polskiego przemysłu ciężkiego wyjął. że nie jest ona dla niego żadnym zaszczytaniem i że jest dobrze poinformowany o tym, że nasze obrabiaczki pracują już u Vickersa, Fiata, Ericsona i tegoż samego Kruppa.

Za pośrednictwem tylko jednej Centrali Polskiego Handlu Zagranicznego — „Metaleksportu” trafiło do różnych obcych krajów blisko 30 tys. polskich maszyn, które tam sprzedaliśmy. Ekspozycja polskich maszyn włókienniczych przyniosła w ub. roku około 60 mln. zł dewizowych i chyba powinno to być najlepszą wizytówką dla naszej myśli technicznej i umiędlności.

SENSACJA
 Miał tegoroczny Poznań i swoją sensację. Już wcześniej nadchodziły z różnych stron wieści o rewelacyjnych kontraktach... finalizowanych przez Związek Radziecki z firmą włoską Fiat i francuskim Renaultem. Tutaj w Poznaniu doszły je-

szcze inne wieści, że prowadzone są rozmowy z japońskimi samochodziarzami — firmą Toyota, i wchodzi w rachubę zakup licencji na budowę tych najbardziej ekonomicznych wozów na świecie, zużywających na 100 km świecie ponad 4,5 l. benzyny.

Salon samochodowy. Pierwszy w Polsce od roku 1945. Skrawek targowych terenów obleżony, jak sklepy z cytrynami przed dwoma laty. Poważne „profesory”, spece od techniki i handlu, obok poznańskich mikrusów którym po szkole udało się urwać spod matnej opieki, by pogłaskać lśniąca karoserie „Fiata-Spider” czy też „Jaguara”.

Z tym międzynarodowym salonem to było trochę przesady, bo w sumie wystawiało swoje wyroby (czy tak można mówić o marzeniach 31 milionów Polaków?) 9 państw — producentów. Niemniej było to — o parterze i wcale się nie dziwię — bo i ja tam swoje pierwsze kroki skierowałem, że walił do „salonu” kto mógł i kiedy mógł.

Alto — przede wszystkim powiedzmy CO światowi samochodziarze proponowali Polakom i innym krajom reflektującym na dobre samochody. 9 krajów było reprezentowanych przez 20 firm samochodowych, a najważniejszymi wystawcami byli: Fiat opropioniony umową z Związkiem Radzieckim wartości 320 mln. dolarów, francuską Renault, Volkswagen, BMC, Citroen i Peugeot. Mercedesami i Jaguarami (maksymalna szybkość 245 km na godzinę, przyspieszenie w ciągu 2 sekund — 100 km, na tym właśnie wozie przemierza swoje telewizyjne drogi bohater polskiej TV — Simon Templar czyli „Święty”). Bardziej dla nas interesujące są w gruncie rzeczy wozy mniej ekskluzywne, a tych właśnie w Poznaniu nie brakowało. Fiat pokazał maszynko co robi w Turynie, od małaństwa „Fiat-500” poprzez 850, 1100, 1500, a nawet 2300. Pokazano nowe karoserie supersportowe, które reprezentowały przede wszystkim ów blizszy polskowski „Fiat-Spider”. Francuską Renault to znowu cała rodzina wozów osobowych poczynając od R-4 po R-Major, aż do R-Caravelle. Francuzi nie zapomnieli jednak o naszych kieszeniach, jak wiadomo niezbyt zasobnych w dewizy, toteż ich Citroen przywiózł z sobą do Poznania świetny i najtańszy, ale i najbardziej samochodów świata tzw. „Prakke”, albo też „Dwa kotłce” czyli „2 CV”.

Z krajów socjalistycznych występowali oczywiście Czechy z ulepszoną „Skoda 1000 MB” (wzmocniony silnik), NRD pokazała nowy typ Trabanta i Wartburga, a Związek Radziecki obok swojego Moskiewca 408 zaprezentował wóz transportowy o nadwoziu stalowym i maksymalnej prędkości 53 km na godzinę, zużywający paliwa 125 l. na 100 km. Maksymalny ładunek 30 ton. Kolos.

I wreszcie Amerykanie: pokazali coś złotego, w kształcie wyszczegolonego cygara, czyli Oldsmobile — Toronado. Cera — 6 tys. dolarów, czyli w najlepszym razie około 420 tys. złotych. Ludzie — nie dajmy się zwariować, chociaż każdy z nas miałby i na taki samochód przysiółkową chrapkę...

POLITYKA

Handel, handlem, ale przecież nie tylko. W pawilonie amerykańskim sam prezydent L. B. Johnson (na fotografii) zachęcał Polaków do kupna super genialnych maszynek do różnych robót ręcznych bez których ponoć nie może się obyć żaden cywilizowany dom. Ale tuż była makietka kombinatu petrochemicznego, a po sąsiedzku wielka kregielnia z dwoma torami, na której kilka minut spędził także podczas swojej targowej wizyty premier Józef Cyrankiewicz. Wynik rzutu kula 9 na 12 możliwości. Krupp za pośrednictwem Bertholda Beltza „mówił”, że nie tylko produkuje wysoko twarde stopy widia, ale buduje także w Bułgarii olbrzymi kombinat petrochemiczny podobny do Plocka. Francuzi pokazali Polakom — SECAM, — system kolorowej telewizji, który zakupili Rosjanie, w jakimś tam stopniu nawiązując do ożywionych kontaktów gospodarczych z ZSRR i zapowiadanej wtedy wizyty prezydenta de Gaulle'a. Zresztą wszędzie i na każdym kroku starali się podkreślać swoje kontakty i dobre stosunki.

Polityka. Być może dlatego u Kruppa wręczono dziennikarzom nie tylko materiały fachowe i informacyjne, ale także bogaty w reprodukcje obrazów Canalleta prospekt wystawy urządzonej w willi Hügel, wystawy obrazów, w której dominowały wizerunki starej Warszawy, Warszawy króla Stasia.

Tak to się spłatał handel z „delikatną polityką”. Tak to się tutaj w te czerwcowe dni kupowało i sprzedawało, albo też usiłowało sprzedać nie tylko towar, ale czasami polityczną ideę, niekiedy wręcz chęciom gospodarzy.

Alto mimo wszystko ów Przemysław I ksiądz Wielkopolski miał nieledwiego nosa, nakładając w roku pańskim 1253 najpierw dominikański jarmark, który potem „obrodził” w Międzynarodowe Targi Poznańskie. Ten... jarmark naprawdę się udał

O ROZWOJU KULTURALNYM ŁODZI

MÓWI KIEROWNIK REFERATU KULTURY DRN ŁÓDŹ — POLESIE, MGR MARIA KORTAN:

W czerwcu br. odbyły się w pięciu dzielnicach naszego miasta sesje i sejmiki kultury, których celem było podsumowanie dotychczasowych osiągnięć oraz wytyczenie planów na przyszłość.

Oto co na ten temat powiedzieli nam kierownicy poszczególnych referatów kultury.

MÓWI KIEROWNIK REFERATU KULTURY DRN ŁÓDŹ — BALUTY, MARIA NOWICKA:

Baluty zaczęły czytać. Masowo. Mamy już na swoim terenie 21 bibliotek i blisko 30 tysięcy czytelników, górujemy więc zdecydowanie nad pozostałymi dzielnicami Łodzi. Przekroczyliśmy także, pod tym względem, normę krajową. Biorąc pod uwagę fakt, że w najbliższym czasie przybędzie nam jeszcze 5 bibliotek — w 1967 roku Biblioteka Młodzieżowa przy ulicy Starosikawskiej, Biblioteka Rejonowa na Osiedlu Wielkopolska oraz 3 biblioteki na Teofilowie — można śmiało powiedzieć, że sytuacja czytelnicza na Bałutach będzie w niedalekiej przyszłości bardzo dobra. Zresztą nie tylko czytelnicy. Rola bibliotek nie zawęża się przecież do samego wypożyczania książek. Placówki te podnoszą ogólny poziom środowiska, organizując spotkania z ludźmi sztuki i nauki; niektóre z nich wprowadziły już nawet do swojego repertuaru cykle tematyczne pozwalające na dokładne potraktowanie danego zagadnienia. Aby nie być gołosłowną, powiem, że w ten sposób biblioteki prowadzą prelekcje z zakresu archeologii, historii i muzyki, teatru i filmu. — Te stałe punkty odczytowe cieszą się wśród mieszkańców naszej dzielnicy coraz większym powodzeniem; podnoszą w ten sposób rangę bibliotek.

No, ale nie wszystko układa się na Bałutach tak pomyślnie. Największą naszą stroną są chyba placówki przyzakładowe. Albo zbyt małe, słabo wyposażone, nie odpowiadające wymogom liczebnej zalogi — albo też istniejące fikcyjnie, okazjonalnie, raz na tydzień, z powodu zabawy. Najbardziej



upośledzony pod tym względem jest Zurbardz i Osiedle Wielkopolska, gdzie występuje rażący brak klubów i świetlic. Tak stąd rzeczy trzeba jak najprędzej zmienić, i to przy pomocy zakładów pracy, które jak dotąd — nie zgrzeszyły nadmiarem inicjatyw i dobrej woli. Mówi się później o chuligaństwie, o młodzieży waleśającej się beżmyślnie po ulicach lub wysiadującej godzinami w kawiarniach. Aby tak nie było, trzeba coś młodym zaproponować: zespoł artystyczny lub teatr amatorski, stół do ping-ponga lub szachy, wszystko to, co znaleźć można właśnie w świetlicach i klubach.

Wszystkim tym, co uskarżają się na brak funduszy powiem jedno: muszę koncertować w Parku Promienistych i w Arturówku powstają w czynie społecznym. Na podobnej zasadzie egzystują punkty biblioteczne. Trzeba więc tylko chcieć...

Na zakończenie pragnę powiedzieć, że już w 1967 roku powstanie na Bałutach poradnia instrukcyjno-metodyczna. Walczyliśmy o to trzy lata. Jak się okazało — z powodzeniem. Dzięki temu będziemy w stanie usprawnić działalność na terenie całej dzielnicy i pomóc wszelkim peryferyjnym klubom, dla których być albo nie być zależy właśnie z osobą rzetelnego instruktora.

Moim zdaniem — struktura referatów kultury jest już przestarzała. Niepodobna kierować wielką, 133-tysięczną dzielnicą — częściowo wielkomiejską, częściowo peryferyjną, rozrzuconą na rozległym obszarze — w dwie osoby. Nie jesteśmy w stanie zajmować się równocześnie organizacją, administracją, pracą instrukcyjną, itd. A przecież musimy. Musimy przynajmniej próbować.

Najwyższy czas, aby podnieść referaty kultury do rangi wydziałów i zwiększyć ilość etatów pracowników. W dobie zawężonych specjalizacji i u nas przydałby się ktoś zajmujący się, na przykład, wyłącznie muzyką... trudno znać się na wszystkim i trudno podobać wymogom dzielnicy, mając do dyspozycji tylko jednego instruktora.

Obecnie jest projekt, aby powołać do życia ośrodki instrukcyjno-metodyczne. Nie wiadomo jeszcze czy powstana one przy Domach Kultury, czy też, co byłoby właściwsze, wejdą w skład referatów kultury DRN. W każdym razie takie przedsięwzięcie wydaje mi się nieuchronną koniecznością.

W naszej dzielnicy jest 12 bibliotek. Do roku 1970 przybędzie 3 dalsze — przy ulicy Małgorzaty Fornalskiej, na Osiedlu Młodych i na Kozinach. Największy chyba awans kulturalny Polesia nastąpił właśnie w dziedzinie czytelnictwa. Przełomem była decentralizacja bibliotek, które do 1963 roku egzystowały w zasadzie na mocy filii Biblioteki im. Waryńskiego. W latach 1961—63 posiadaliśmy 7 bibliotek rejonowych i 3 punkty biblioteczne, co dawało razem 64 tysiące woluminów i 8 tysięcy czytelników. W latach 1963—65 można zanotować szalony wzrost poziomu czytelnictwa. Nastąpiły zmiany w zakresie wynoszenia bibliotek, przybyło 5 nowych bibliotek i 9 punktów bibliotecznych, ilość woluminów wzrosła o ponad 20 tysięcy, zaś czytelników o 7,5 tysiąca.

Zrozumiałe, że stan ten nie jest jeszcze zadowalający. Poprawa jednak ma tendencję postępującą. Zmieniły się nieco gusty czytelników, obok kryminałów i beletrystyki ludzie coraz częściej biorą do ręki literaturę popularnonaukową. Poza tym osiągnięta została norma krajowa, przewidująca 1 bibliotekę na 10 tysięcy mieszkańców. Tu jednak muszę powiedzieć, że w latach najbliższych należy poświęcić więcej troski sprawie konserwacji księgozbiorów w bibliotekach powszechnych przez powołanie dzielnicowych introligatorni.

Największą bolączką Polesia jest brak dzielnicowego Domu Kultury. Nic nie wskazuje na to, abyśmy w najbliższym czasie mogli podobną placówkę otrzymać, toteż życie kulturalne Polesia ogniskuje się z konieczności w Osiedlowym Domu Kultury, ówczesny zresztą dopiero rok temu na Kozinach. Sytuacja poprawiłaby się znacznie, gdyby powstał w naszej dzielnicy choćby międzyzakładowy Dom Kultury, ale to uzależnione jest nie tyle od nas, co od zakładów pracy. Dlatego zwracam się z apelem do rad zakładowych: zbadajcie się na wysiłki i pomóżcie nam przekształcić jedną z zakładowych placówek — może „Karolka”? — na ośrodek o szerszym, ogólnodzielnicowym zasięgu, gdzie miałyby swoje udziały kilka zakładów pracy!

MÓWI KIEROWNIK REFERATU KULTURY DRN ŁÓDŹ — WIDZEW, WERONIKA STECZEK:

Jestem nowym kierownikiem referatu. Pracuję na tym stanowisku dopiero 2 miesiące. Tym niemniej pochlebiam sobie, że tutejsze środowisko znam dobrze. Przecież już od dawna związałam się z Widzewem całym sercem, od dawna obserwuję bacznie wszelkie przemiany jakie zachodzą na terenie naszej dzielnicy.

Nie będzie chyba dla nikogo niespodzianką, jeśli powiem, że w porównaniu z silną rzbudową czerwonego Widzewa, wzrost zaplecza kulturalnego jest nieproporcjonalnie mały. Mamy 85 tysięcy mieszkańców i tylko jeden Międzyzakładowy Dom Kultury. Instytucja ta prowadzi działalność w rejonie Księży Młyn, działalność, która spotykała się zawsze z wieloma zarzutami wynikającymi częściowo z trudnych warunków lokalowych. Od czerwca 1964 roku sytuacja pogorszyła się jeszcze z uwagi na katastrofalny stan techniczny budynku. Ciężkie, niedostosowane do potrzeb salki nie mogą pomieścić wszystkich form pracy kulturalno-oświatowej. Trzeba było zlikwidować kino i pierwsze piętro, gdzie odbywały się próby zespołów artystycznych. Prace tych zespołów przeniesiono do obok położonej szkoły.

Jedyną szansą na poprawienie tego stanu rzeczy jest planowane powstanie Międzybranżowego Domu Kultury. Ponieważ nie ma odpowiednich warunków lokalowych, dom ten będzie się składał z trzech filii, ale pod jednym kierownictwem. Zostana po prostu połączone wspólne interesy i wspólnym programem dwa zakładowe (dotychczas) Domy Kultury przy Zakładach 1 Maja i „Andanie” oraz świetlica Zakładów im. Hanki Sawickiej.

Inna istotna bolączka Widzewa jest brak księgarni. W całej dzielnicy jest tylko je-

den „Dom Książki”, przy ul. Armii Czerwonej. Zdajemy sobie wszyscy sprawę, że na Stokach, Zarzewie i Podgórze placówki takie są niezwykle potrzebne, więc dołożyliśmy wszelkich starań, aby przed rokiem 1970 powstały na tych odległych, opuszczonych terenach przynajmniej trzy księgarnie. Pozwoli to zaspokoić żądania czytelników, których przybywa przecież z każdym miesiącem, z każdą nową biblioteką i punktem bibliotecznym. W ogóle powiedzieć trzeba, że mimo niewygórowanej ilości naszych bibliotek i nienadzwyczajnego stanu tych lokalów — czytelnictwo na Widzewie rozwija się bardzo dynamicznie. Obserwujemy tu jednak zjawisko równie dziwne, co niepokojące: przy zmniejszającej się ilości książek na czytelnika (w księgozbiorach kryje się duża ilość pozycji przestarzałych, które należy usunąć z półek) i równoczesnym szybkim wzroście czytelników — następuje obniżenie się ilości książek na osobę. Stwarza to konieczność nieustannego dopielniania księgozbioru i to w myśl pewnego planu, tak, aby nowe nabytki nie zdeaktualizowały się za szybko i nie powiększyły po czasie zbiorów bibliotecznego makulatury.

Sa w naszym życiu kulturalnym także jasne strony. Budujący jest fakt, że Widzew rozpieł się ostatnio i umuzykalnił. Mamy sporo dobrych zespołów młodzieżowych big-beatowych i instrumentalnych, niezłych refrenistów, i — co cieszy najbardziej — orkiestry dęta, w której skład wchodzi przede wszystkim pracownicy fizyczny. Mam ogromne uznanie dla tych ludzi. Jestem przekonana, że gdyby wszyscy działacze, kierownicy i instruktorzy pracowali z takim entuzjazmem, z jakim oni muzykują po ciężkiej robocie — Widzew przestałby być białą plamą na mapie łódzkiej kultury.

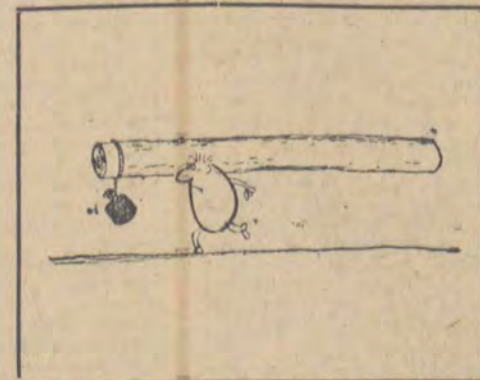
MÓWI KIEROWNIK REFERATU KULTURY DRN ŁÓDŹ — ŚRODMIEŚCIE, SŁAWOMIRA KONÓP:

Najlepsza forma upowszechniania tzw. kultury masowej, dysponują mi się placówki międzyzakładowe, wydująca wspólnym funduszem kilku przedsiębiorstw. Placówka taka ma zapewnioną kolegią opiekę ze



strony poszczególnych zakładów, i — tym samym — kolegią kierownictwo. Nie jest podporządkowana tylko jednemu kierownikowi i jednej tylko radzie zakładowej, która, mimo najlepszych chęci, może błędzić...

Co prawda — w klubach i świetlicach przyzakładowych też nastąpiła zmiana. Przystają być z wolną ośrodkami zamkniętymi, odizolowanymi od społeczeństwa, broniącymi wstępu wszystkim obcym, nie pracującym w danym zakładzie. Mamy wiele dowodów na to, że z zakładowych bibliotek i urzędów kulturalnych korzysta szerokie społeczeństwo — ludzie z sąsiadujących z zakładem domów, czy z pobliskich ulic... Brak jednak w tej sytuacji stabilności. Posłużę się przykładem: w świetlicy Łódzkiej Fabryki Mebli przy ulicy PKWN gościło do niedawna całe okoliczne środowisko. Magnetycznym była zarówno biblioteka, jak estrada, zarówno gry towarzyskie jak i spotkania z twórcami. Ostatnio jednak coś się tam popsuło. Nowa rada zakładowa zerwała kontakt z „obcym elementem”, zamknęła hermetycznie drzwi świetlicy przed ludźmi z zewnątrz. Mało tego — mając minimalne jeszcze doświadczenie w zakresie dysponowania funduszem i niewielką orientację, jeżeli chodzi o potrzeby duchowe ogółu pracowników — większość funduszu przeznaczona na wyceceki turystyczne i różne okazjonalne imprezy dziecięce, tak że na merytoryczną działalność oświatową zostało coś około 4 tysięcy złotych.



Przyjdzie zapewne dzień, że nowa rada zakładowa LFM otworzy szeroko podwoje świetlicy i nauczy się dysponować pieniędzmi; ale stracony czas, niestety, już się nie wróci...

Z prawdziwą radością odnotować należy plany inwestycyjne na najbliższą przyszłość. Śródmieście otrzyma do roku 1970 parę nowych bibliotek publicznych (przy ulicy Tkackiej, Nawrot i Piotrkowskiej), Międzyzakładowy Dom Kultury i kino w daw-

nym budynku Operetki oraz muszę koncertować się będą amatorskie zespoły artystyczne. Ponadto przewidywane jest utworzenie Międzyzakładowego Klubu Włókniarzy, Międzyzakładowego Klubu Biur Projektów, Międzyzakładowego Klubu Filmowców i Międzyzakładowego Klubu Pracowników Komunalnych, w uzgodnieniu z branżowymi związkami.

Wszystko to powinno zaspokoić w najbliższym czasie potrzeby kulturalne dzielnicy Śródmieście i przyczynić się do znacznego podniesienia poziomu oświaty w całym mieście.

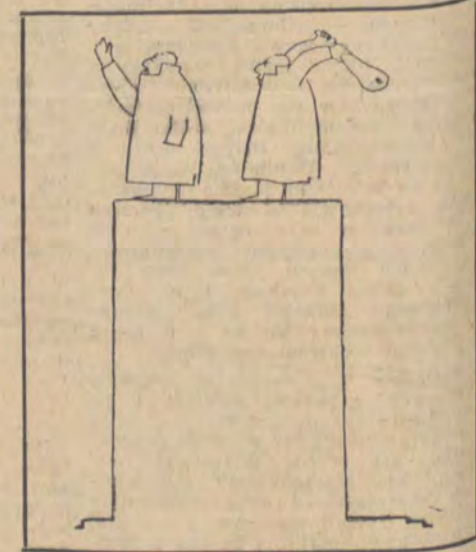
MÓWI KIEROWNIK REFERATU KULTURY DRN ŁÓDŹ — GÓRNA, ZDZISŁAWA SZEJAK:

Z Klubami i Domami Kultury nie mamy w zasadzie kłopotu. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa świetlic społecznych, których jest w naszej dzielnicy sporo, bo aż szesnaście. Działalność tych placówek — to najczęściej akcje przypadkowe, spontaniczne, ograniczające się do okolicznościowych akademii, prób z zakresu wychowania estetycznego lub nie zawsze właściwej pracy nad trudną młodzieżą. Błąk w tym wszystkim łączników-instruktorskich i fachowego kierownictwa. Mam nadzieję jednak, że w niedalekiej przyszłości sytuacja ta ulegnie zdecydowanej zmianie, bowiem już w bliźszym roku powstanie przy naszym referacie kultury poradnia instrukcyjno-metodyczna.

Wracając do trudnej młodzieży: niezłe wyniki w pracy nad kształtowaniem opornych charakterów osiągnął Klub „Pierwsza”, kierowany przez energiczną panią Mielczarek. Kobieta ta wyszła — jak to się mówi — naprzeciw problemowi, wprost na ulicę. Zaczęła werбовать niespokojne duchy do zespołów recytatorskich i instrumentalnych, stawiając kandydatom jeden warunek: wyciszyć paznokcie i skrócić włosy. Kilku z nich umieściła nawet w zakładzie, gdzie podjęli pierwszą w życiu pracę. Nie bała się ryzyka i sa już — dzięki temu — rezultaty: chłopcy spisują się zupełnie niezłe.

Ciekawy eksperyment zrodził się także ze współpracy Domów Kultury z Komendą Dzielnicową MO. Najbardziej rozwidrownych chłopców, którzy osiągnęli tzw. wiek dojrzały, a więc osiemnaście lat — zaprasza się na uroczyste wreczenie dowodów osobistych. I co się dzieje? A no... chuligani przychodzą w czystych ubrankach, przyczesani, z uwagą wysłuchują przemówienia zastępcy dzielnicowego komendanta, majora Białkowskiego i zasiadają później do kawy i ciastek ufundowanych na ich cześć. Nie chcą przesadzić, ale moment ten na wielu z nich wywiera przełomowy wpływ.

Jeśli chodzi o kulturę masową, to dominantę jej stanowią w naszej dzielnicy zespoły recytatorskie. Mamy na tym polu naprawdę poważne osiągnięcia. Wystarczy powiedzieć, że sześciuosobowa reprezentacja



Łodzi na XII Ogólnopolski Konkurs Żywego Słowa opierała się w głównej mierze na „górniakach”. Było ich aż czterech: Maria Maj została laureatem ogólnopolskim. Zainteresowanie teatrem poezji cieszyło się tym bardziej, że znaczny procent wykonawców — to robotnicy, uprawiający z piękną gałąź sztuki obok młodzieży i reprezentantów innych zawodów.

Poza tym — rozwijają się także inne formy ruchu amatorskiego. Niemalym dopinaniem jest w tym wypadku coroczny, ogólnodzielnicowy przegląd wszystkich zespołów, po którym dokonujemy podsumowania osiągnięć kulturalnych terenu, i który pozwala nam zorientować się w istotnych niedomogach poszczególnych świetlic i klubów. Wiemy na przykład doskonale, że słabymi punktami Górnej są Chocianowice, Młynek, Jędrzejów i Józefów. Istnieją tam świetlice typu rolnego — pozabawione jednak fachowego kierownictwa. Dążeniem naszym jest wygospodarować tam za wszelką cenę etaty pracowników dla instruktorów. Ale bez pomocy zarządu kółek rolniczych realizacja tego będzie niemożliwa.

Kończąc powiem jeszcze o jednej bolączce. Biblioteki. Jest ich 12. Do roku 1970 przybędzie trzy dalsze — na Dworcu, Rokiczinach i Dabrowie, ale wątpię należy, czy wielka, licząca 186 tysięcy mieszkańców dzielnica zostanie tym zaspokojona. Wyjście z tej niewesołej sytuacji widzę jedynie poprzez zmodyfikowanie dotychczasowej pracy bibliotek przyzakładowych, których jest na Górnej 21. Jak dotychczas — tylko cztery z nich prowadzi otwarte upowszechnianie czytelnictwa, dla pracowników z zakładu i dla obcych. Reszta niechętnie „otwiera się” dla środowiska, czego niewątpliwym powodem jest niewłaściwa polityka rad zakładowych. Są ludzie nie rozumiejący interesów społecznych. Ich egoizm jest w wielu wypadkach przysłowiowym kamieniem na drodze.

STANISŁAW
KASZYŃSKI

Dwie propozycje czyli blaski i cienie wyboru

Mój Boże, jakże ze mnie stary koł! Starszy o dwadzieścia lat z okładem, bo któż by liczył skrupulatnie. Kiedy się coś takiego konstatuje, słychać jakieś rozrzewnienie, człowiek robi się sentymentalny, trochę się rozmaruje. I pomyśleć — że przez piosenkę! Piosenka wszystko potrafi, nie spodziewałem się jednakże, że potrafi aż tyle. Odstąpiła mi nagle — dziwnym zbiegiem okoliczności — jakiś fragment dzieciństwa, w którym do melodii zarezerwowanych dla najmłodszego pokolenia, przylatywały się melodie dorosłe, frywolne, nie dochodzące zazwyczaj do progów kindersztuby. Do mojej — doszły, nuciłem je sobie, jeszcze nie nastolatek, nie wylajac się zupełnie, by cośkolwiek rozumieć. Zawdzięczałem to przedczesne smakowanie, mojemu wujowi, który mieszkał wówczas na głuchej wsi i skwaślowicie sprządał szlągery. Słuchałem z zainteresowaniem przebojów z „Morskiego Oka”, z „Qui Pro Quo”, wydawanych pojedynczo w małym formacie z napisem nutowym i tekstem, na stronie tytułowej z podobizną słynnej interpretatorki. W ten sposób w ciche letnie popołudnia zapoznawałem się, nieświadom niezwykle wtałm nieniznia, z melodiami polskich kabaretów, których odbłask jeszcze oglądałem w czasie łódzkiej „Syreny”.

Pasemko osobistych reminiscencji, które odnalazłem teraz w rodzinnym musicalu „Taka noc nie powtórzy się więcej”, rozciąga się na wiatki znacznie przecięt szersze, ogólniejsze. Jeśli bowiem nie poruszy on czyjeś wspomnienia, nie przysporzy komuś odsłazy intymniejszych, które zaznacza się w przypadku przeciwnym pełniejsza percepcja, to w każdym razie odbiera się go musi jako dokument obyczajowo-artystyczny. Dokument z zamkniętej enoki. Jak daleko pozostawiliśmy ją w tyle, poza sobą, jak bardzo rzeczy tu zeromadzone obnoszą niekto swojego czasu powstawania, dowodów na to wiele — sa archaiczne, nieprzystosowane, staroświeckie. Nikt wszakże nie zechce za-

drwić z tych tekstów i to nie z ostrożności, że kiedyś i namiętnie przeboje powędrują do la musa jako śmieszne i pretensjonalne. Więc obruszać się nie trzeba nigdy na piosenki, skoro nieczemu nie zagrażają, ani nikomu nie schlebiają, nie obrażają też niczego ani nikogo, a docierają tylko echem kabaretowych czy ulicznych idealizacji osobników z półświatka. Toż to odprysk sentymentu wielkich i małych, zapoznanych poetów dla „upadłych aniołów” nocy i jakiejś strzezy i pogłosy niedogłębionego życia Warszawki. I forma musicalu, ochraniająca, jak się zdaje, najsukcesywniej pewną autentyczność fabularną, a zarazem świeżość — użyta została z doskonałym wyczuciem materii — doskonale się również na scenie sprawdziła. Bo pozwala wchłaniać z pobłażliwością ów kłótniak knajny z podejrzanyimi personami szefa lokalu, wyrzuconego z siódła ex-hrabiego-fordansera, kokotek i ulicznych, apasza i szpicla, atmosferę sprzedawanego seksu, przygody, namletności i noża. Więcej tu zwietrzałych perfum niż przelanej krwi, więcej mitologii niż prawdy, ale komu to przeszkadza? Podobne postacie zniknęły z dziesiątą zupełną i z piosenki, i z literatury, jeśli pojawiają się niekiedy, to zbrutalizowane, strywalizowane, może dlatego, że nie dostaje nam tej odrobiny naiwności, która pozwala wierzyć w takie legendy półświatka. A może nigdy nie był on taki, jak w tej nocy, jak w piosenkach dawnych? Nie trzeba konfrontować bardziej, cierpliej nie-watpliwie prawdy z wdziecznym zmyśleniem. Zresztą w założeniu autorskim, przyjętym w inscenizacji (panie I. Czajkowska i B. Fijewska) i żywo dostrzegalnym w interpretacji aktorskiej, został uroczony podtrzymany dystans, lecz cudzysłowowe potraktowanie nie eliminuje bynajmniej efektów poetyckości. Sam spektakl, zbudowany na wiatym, ale wystarczającym i funkcjonalnym pomysle fabularnym, rozwijającym akcje śladami piosenek — sa one zresztą uszczelnionymi ilustracjami — pulsuje świeżością, ma zmiennie tempo, regulowane wewnętrzna logiką tematu-nastroju (melodramat przepuszczony przez pastiche), ma, naturalnie wcale dobra obsadę. Niemal wszyscy wykonawcy posiadają minimum umiejętności wokalistycznych, tym przyjemniej to stwierdza, gdyż podporządkowane sa one sztuce aktor-skiej. Pomyślałem sobie, ileż np. zyskałaby miejscowa operetka, gdyby zaangażowała kilku aktorów z dramatycznym nerwem! Otóż jedynie gra można było zindywiduować i uplastyczyć charakter niepowtarzalnej

nocy: cała galeria wypełnia z jej mroków z gracją. Wybieram z niej p. A. Krawczykównę, ognistą Filipinę — filigranowość aktorki stapiała się z małą przestrzenią, coż znaczy jednak temperament! — p. Z. Płoszaj (Florek-apsza), którego nie wymieniłem w „Kłameczusze”, pokazał tutaj nowe warunki, nieciekawie go tylko ubrano, za to otrzymał świetną partnerkę, demonicznie-ekspresywną Mańkę (p. M. Marcheluk). P. A. Zomer (Marta) w dowcipnej stylizacji na Marlene Dietrich cienko i zmysłowo odkrywała swa przeszłość. P. B. Wróblewski (Tajniak) postura i głosem sympatycznie czekał na krwawe morderstwo, a p. J. Jedryka (Lola) po niedawnym kobiecactwie z Albee'go ładnie rozegrała swa wolne dziewczętko z paluszkami.

W kłopotle natomiast jestem przy ocenie „Sie Kochamy”. O ile wybór pierwszy wręcz znakomicie dookreśla program artystyczny „7.15”, przez co i pomnaża rosnący stale kredyt dla tej sceny, wymieniona pozycja z „centrali” jest po prostu nienorazumieniem. Żadna omyłka repertuarowa nie jest, naturalnie, kłeska teatru, nawet jeżeli w rezultacie staje się na deskach niewypałem. Tak — zawsze można znaleźć jakieś usprawiedliwienie; próbują bronić tego utworu i przedrukowane w programie wyciągi z różnych publikacji. Ani mi w głowie kwestionować słuszność owych komentarzy, gdyby było mniej upalnie i więcej miejsc w „Odgłosach” chętnie doruczyłbym i ja jakąś przychylniejszą głos. Przypuszczalnie przekonaliśmy siebie, jako czytelnika, do teatru bym jednak nie poszedł na to. Poszedłem, bo musiałem, toteż się dziwię; po co, cui bono? Wątpliwe korzyści z tego i dla widzów i dla teatru, i — last not least — dla p. K. Chameca jako realizatora. Pierwszą plawia się po prostu w nudach: przedsięwzięcia przez autora polemika z absurdalnym stereotypem człowieka, jakiego pokazuje teatr awangardowy, czy z nadużyta transpozycja zjawiska miłości, nie przekracza kilku zaledwie zabawnych sytuacji i stwierżeń. W sumie nie ma wiele z drażliwo-głęboko komediowych spostrzeżeń. Czytam, że to „czarująca igraszka”, „niezła satyra” na „American way of life”. Hm... Owszem, komedia ta zapoznaje z dość interesującym faktem we współczesnej dramaturgii amerykańskiej, i tym zapewne kierował się „Dialog”, sygnalizując go drukami. Teatr, który z godną podziwu wytrwałością popularyzuje od wielu lat klasyków XX wieku, powinien w ramach cyklu rozrywkowego



Alicja Zomer i Jerzy Walczak w sztuce „Taka noc nie powtórzy się więcej”.

Fot.: L. Myszowski

trochę się o sztuki wartości-ciowsze, choćby już gdzieś z lepszym skutkiem sprawdzono. Eksperymenty witaly serdecznie, ale nim się je podejmie, trzeba mieć przynajmniej minimalny zasób doświadczeń, uprawdopodobniających szanse powodzenia. Czyżby p. Chameca aż tak zainteresowała ta sztuczka? Jeśli tak, to powiedzmy sobie otwarcie, nie rozgrzył jej do końca, nie rozpoznał dostatecznie jej poetyki: „Sie Kochamy” sa trudne do reżyserowania, tym trudniejsze, gdy gra się jednocześnie czołowa rolę. Praca nad rolą wymaga tak wielkiej koncentracji, że zwykle reżyserzy-aktorzy zadowalają się epizodem; cedując ambicje aktorskie na rzecz twórczej koncepcyjno-organizacyjnej. A p. Chamec porwał się na czyn niecodzienny, nietypowy, w tym sensie zaiste debiutancki. Bodaj, że usiłował wyprowadzić całość z ujęcia swej postaci. Zobaczył mianowicie w Harrym zalekionego, zakompleksione-

go człowieczka z duszyczką bazyliżką - cwaniaczką, i ugrzązi, zagrzebał się tak do-szczętnie w tym nastroiku, że w komedijce bulwarowa wprowadził dziwaka, jakby z Dostojewskiemu — wszystkie sposoby dystansowania zamieniły się w jego przeciwnieństwo: zdmuchnięto komizm, ironię, a przede wszystkim „czarny dowcip”. Wysła z tego niespodziewanie sztuka o straconych złudzeniach miłosnych, o dwóch skrachowanych życiowo facetach i ich niezdecydowanej partnerce. Nie też innego nie robił p. J. Cwikliński (Milt), tylko najpoważniej trawił wszelakie niepowodzenia małego amerykańskiego businessmana. Zaś p. A. Kulikówna (Ellen) próbowała kolejno uszczęśliwić obu mężczyzn, aczkolwiek niezbyt to jej się udawało i w tych próbach zatraciła siebie.

Istotnie: p. Chamec raz jeszcze wszystkich przekonał, że jest aktorem wyróżnien-

nym, że stać go na wiele, że nie rozpostarł wszystkich swoich kart, aczkolwiek nie delectował się, w ten wiec, choć jego sztuką. Pocięcha jedyna a wielka, że mamy p. Chameca w Łodzi; nie chodzi o poprawkę, o rehabilitację, chodzi o to, żeby po prostu grał!

7.15 — Druga Scena P. Teatru im. S. Jaracza: Kasper Stefanowicz, „Taka noc nie powtórzy się więcej”, musical w 2 częściach, inscen. Irma Czajkowska i Barbara Fijewska, reż. Irma Czajkowska, dek. i kost. Jan Marcin Szancer, choreogr. Barbara Fijewska, kier. muz. Piotr Hertel, prem. 3 kwietnia 1966;

P. T. im. S. Jaracza: Murray Schisgal, „Sie Kochamy”, przekł. Adam Tarn, reż. Krzysztof Chamiec, scenografia: Ewa Sobolowa, muz. Piotr Hertel, prem. 29 maja 1966.

TADEUSZ GIGGIER

Młodzi w łódzkim klimacie

W swoim czasie napisałem fraszkę zatytułowaną „O łódzkim klimacie”.

„Ten klimat — szczęśliwości kraj na myśl przywodzi, bo tutaj literaci najdłużej są młodzi”.

Fraszka ta wymaga komentarza: dotyczy ona czasów, gdy Łódź nie miała ani własnego wydawnictwa, ani nawet tzw. tygodnika kulturalnego, gdy — jednym słowem — starci młodego poety czy prozaka był bardzo utrudniony, a jego „dochođenje do literatury” (oraz do Związku Literatów) rozciągało się na całe lata. Nie zamierzam sugerować, że dziś ta droga bardzo się skróciła, choć miałbym na to kilka przykładów. Na pewno nie jest to (i może nawet lepiej) gładka asfaltowa szosa. Tyle, że idący nią są młodzi już w innym sensie, co postaram się dalej wyjaśnić.

Jak wiadomo, przy łódzkim oddziale Związku Literatów istnieje Koło Młodych, skupiające grono poetów, krytyków, prozaików. Z kilku łódzkich ugrupowań młodych twórców to ugrupowanie znam najlepiej, dlatego o nim będę mówił. Przed dwoma miesiącami ukazał się na łamach „Odgłosów” artykuł, pt.

„Przedproże Związku Literatów”, napisany przez przewodniczącego Koła, Ziemowita Skibińskiego. Autor artykułu omówił szkieletowo formy pracy w Kole, scharakteryzował również pokrótce „sylwetki twórcze” członków Koła. Uważaj czytelnik zwrócił zapewne uwagę na to, że młodzi pisarze uprawiają różne gatunki literackie, a więc piszą wiersze, opowiadania, utwory satyryczne, eseje, nie stronią też od form dziennikarskich, takich jak reportaże czy recenzja książkowa. Prezentują przy tym różne postawy twórcze. Młodzi poeci, członkowie Koła Młodych, dają w swej twórczości, co uważam za bardzo cenne, do połączenia zdobyczy formalnych współczesnej poezji z dobrze pojętym zaangażowaniem w sprawy współczesności. Mówiąc „dobrze pojętym” mam na myśli podejmowanie takich tematów, które są im bliskie i, żeby użyć modnego wyrażenia — adekwatne do ich wrażliwości twórczej i poetyckiej wyobraźni. Nie potrzeba chyba uzasadniać, że tylko taka postawa twórcza gwarantuje właściwy efekt pisarski. Potwierdzają to wyniki wielu konkursów ogólnopolskich, w których młodzi łódzcy poeci zdobyli szereg czołowych nagród i wyróżnień.

Różnorodność zainteresowań członków Koła Młodych przejawia się również w tym, że część z nich zdradza inklinacje w kierunku tzw. pozycji lingwistycznej, bardzo ostatnio rozpowszechnionej i niedwuznacznie forowanej przez kilku wybitnych krytyków starszego pokolenia. Ten rodzaj twórczości poetyckiej budzi najwyższe spory i kontrowersje, niektórzy widzą w

nim jedyny ratunek dla poezji, inni — jak to zwykle bywa — jej zagładę. Gwoli ścisłości pragnę tu odnotować, że „lingwiści” wysuwają na swoją obronę argument, iż — wbrew pozorom i robionym im zarzutom — również oni nie są oderwani od rzeczywistości, gdyż język jest jednym z jej składników. Inna sprawa, czy z całego bogactwa i wielowarstwowości współczesnego życia może zadowolić ta jedna warstewka, ale jeśli ktoś tak uważa, nie należy go potępiać i nie pozwolić mu ponosić za to konsekwencji.

Wracając do młodych łódzkich poetów, trzeba powiedzieć, że sa wśród nich i tacy eksperymetatorzy, jednakże ich próby poetyckie nie są nigdy „eksperymentem dla eksperymetu”. Gdy weźmiemy pod uwagę ten moment, a także wszystko to, co powiedziałem poprzednio, stanie się jasne, dlaczego warszawscy goście festiwalowi, znający do brze różne środowiska młodych poetów, ocenili łódzkie środowisko bardzo wysoko. Podobną opinię wyraził po niedawnej wizycie w łódzkim Kole Młodych znany poeta i krytyk, Bogdan Ostronęcki. Jednakże sama twórczość poetycka to tylko jedna strona zagadnienia. Drugą stroną, nie mniej ważną od pierwszej, są szanse uzewnętrznienia się tej twórczości, i to w różnych postaciach. Z satysfakcją odnotowuję, że Łódź jest w ostatnim czasie terenem rozlicznych imprez poetyckich, organizowanych zresztą w znacznej mierze przy współudziale łódzkiego Koła Młodych: „Jesień Poetyckiej”, Dziennika Łódzkiego, dorocznego „Turnieju Jednego Wiersza” w Klubie Studentów,

wreszcie Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji. Zapowiedziana przez władze miejskie kontynuacja tego Festiwalu napawa mnie dużym optymizmem, choćby z racji tzw. lokalnego patriotyzmu.

Znacznie gorzej przedstawiają się w Łodzi możliwości druku i publikacji książkowych, mimo dużej poprawy w ostatnich latach. Tak jest, powstało w Łodzi Wydawnictwo Łódzkie. Nie zachyślajmy się jednak tym faktem, skoro w tym samym czasie powołano do życia szereg Wydawnictw, w innych, mniejszych ośrodkach kulturalnych. Tak jest, Wydawnictwo Łódzkie wydaje, i to z reguły bardzo starannie, tomiki poetyckie. Ale wydają je również inne wydawnictwa regionalne, mniej akcentując swoje zasługi w tym zakresie. Spośród dwudziestu członków Koła Młodych szczęśliwymi posiadaczami własnych tomików poetyckich, na przestrzeni trzech lat, zostali trzej poeci: Roman Gorzelski, Jerzy Jarmolowski i Ziemowit Skibiński. (Mieczysław Michał Szargan opublikował swój pierwszy tomik w roku 1961 a więc jeszcze przed powstaniem obecnego Koła Młodych). Podobno mają ukazać się tomiki trzech następnych debiutantów, znając jednak coraz większą rozciągłość cyklu produkcyjnego, trudno określić, kiedy to nastąpi. Może za rok, a może za dwa lub trzy lata. A kiedy doczekają się swych książek inni, zasługujący na to członkowie Koła?

Wydawnictwo Łódzkie — co jest oczywiste — ma przy tym zobowiązania nie tylko wobec członków Koła Młodych. Trud-

ność pochodzi na pewno stąd, że do wierszy Wydawnictwo dopłaca. Ale przecież, jak po wszechnie wiadomo, dopłacamy również do każdego biletu teatralnego i kinowego, a mimo to znajdują się na ten cel pieniądze. Niektórym wydawnictwom udało się uzyskać subsydia na dofinansowanie książek poetyckich z funduszy Rad Narodowych bądź Towarzystw Regionalnych. Jednak to pętna perspektywa dla całej na sprawy kultury Rady Narodowej m. Łodzi i zasilonego w tym względzie Towarzystwa Przyjaciół Łodzi!

Równie paląca stała się już od dłuższego czasu sprawa powołania do życia stałego periodyku literackiego (szacownie „Odgłosy”, uczęszczając częściej swych szczupłych łamów łódzkiego literatowi, takim periodykiem nie są i być nie mogą). Przekształcenie „Osnowy” w kwartalnik literacki ciągnie się już od paru lat, a wystarczy sięgnąć choćby po ostatni zeszyt tego almanachu, aby przekonać się, jak jest on potrzebny, i to przede wszystkim młodym pisarzom. Znajdują tu oni możliwość druku,

tak trudną dla nich w piśmie warszawskich. Wiąże się to również z kwestią dochodowania się w Łodzi, po niemal dwudziestoletniej posusze, własnej wysokokwalifikowanej kadry krytyków literackich i recenzentów, jaką szczytą się inne miasta. Publikowane w „Odgłosach” i w „Osnowie” eseje, rozprawy i recenzje takich młodych krytyków jak Sławomir Swiontek, Jerzy Poradecki, Henryk Pustkowski — (notabene — członkowie Koła Młodych) — dowodzą, że stać nas na taką kadre, byle tylko ci młodzi pisarze mieli się gdzie wypowiadać.

Dajemy szansę młodym sportowcom, dajmy — przynajmniej na równi — szansę młodym pisarzom. Nie dopuścimy do tego, by wiedzieli o nich więcej od nas przybysze z innych miast, i by cenili ich wyżej, niż my ich oceniamy. Sa oni młodzi (tu powracam do wstępu) tą autentyczną, świeżą, burzliwą, twórczą młodzieżą, która zdarza się tylko raz — i której nie wolno zmarnować.



MARIA

KORNATOWSKA

Czy polskie Hollywood?

Lódź spełnia, jak wszem wóbec wiadomo, obowiązki polskiego Hollywood. Spełnia je, trzeba to uczciwie przyznać, z wyraźną niechęcią i oporami. Życie filmowe Łodzi, poza odnośnymi wytwórniami (WFF, WFO, Semafor) oraz Szkołą Filmową, skupia się głównie w „Honoratce” i „Spafitfie”, nadając naszemu miastu piętno kulturalnego ośrodka, gdzie od czasu do czasu stali bywalcy wspomnianych lokali mogą dostąpić szczęścia ujrzenia kilku wielkich gwiazd i wielkich twórców. Ponadto fakt skoncentrowania w Łodzi kilku ośrodków produkcyjnych i jednej w kraju uczelni filmowej, przyczynił się niewątpliwie do zwiększenia ruchu pasażerskiego na linii Warszawa—Łódź i z powrotem.

Łodzianie — patriotci nie powinni bowiem ulegać słodkim iluzjom. Łódź jest nie tyle stolicą filmową Polski, ile punktem usługowym, gdzie kręci się filmy. Rozliczne organy zatwierdzające, kontrolujące, oceniające, kierownictwa zespołów — stowem, cały mózg kinematografii mieści się w Warszawie. Tam też wychodzą wszystkie czasopisma filmowe, mieszkają czołowi krytycy i recenzenci, działa Klub Krytyki, mieści się Wydawnictwo Filmowe. To w Warszawie powstaje więc to, co nazwać można opinią filmową, w Warszawie lansuje się tych lub innych reżyserów, feruje pozytywne lub negatywne oceny poszczególnych filmów. Warszawa rządzi nie tylko Modą Polską, ale i modą filmową. W Warszawie odbywają się uroczyste premiery prasowe polskich filmów, do Warszawy przyjeżdżają delegacje zagraniczne, które czasem w drodze specjalnej łaski pojawiają się także i w Łodzi, witane chlebem i solą oraz tkliwym uśmiechem Kopicjuszką, o którym w ostatnim momencie przypomniał sobie piękny król. Nie też dziwnego, że do stolicy uciekli prawie wszyscy realizatorzy i ludzie filmu, w najgorszym przypadku wybierając Kraków lub Wrocław. Tych co zostali w Łodzi można by policzyć na palcach jednej ręki. A i ci marzą zapewne w noc bezsenne o jak najrychlejszym opuszczeniu polskiego Hollywood.

Można oczywiście przy okazji ubolewać nad działaniem rozmaitych snobizmów oraz zaboborną chęcią stolicy, która pochłania wszystko, co najcenniejsze w granicach Buga-Odry. Rzecz jednak w tym, że „imperializm” warszawski nie wyczerpuje zagadnienia, chociaż dostarcza efek-

townych chwytów wielu prowincjonalnym demagogom. Życie filmowe (nie to rzecz jasna, jakie toczy się w salach honoratki - spafitfowych), podobnie jak każde życie artystyczne, rozkwita na odpowiednio żyznej glebie kulturalno-intelektualnej.

Zastanówmy się jeszcze nad specyfiką łódzką. Życie światła filmowego i życie miasta, toczą się osobnymi torami, nie wadząc sobie nawzajem. Miasto zbyt mało interesuje się filmem i wzajemnie, film nie interesuje się miastem, zapatrzone w dalekie światła stolicy i Europy.

Prasa łódzka poświęca sprawom filmowym niewiele miejsca i to w sposób raczej marginesowy. Centralna problematyka współczesnego filmu polskiego nie znajduje w niej prawie żadnego odzwierciedlenia. Nie ma zwyczajowo uważnego recenzowania polskich premier, analizowania twórczości poszczególnych reżyserów. Do wyjątkowych okazji należą spotkania z twórcami, dyskusje, sympozja, czy konferencje. A i te odbywają się w gronie wtajemniczonych, w ścisłym kręgu przyjaciół i zwolenników. Akcje popularyzowania kultury filmowej prowadzi konsekwentnie kino studyjne „Stylowy” — z pewnością najlepsza tego rodzaju placówka w Polsce. Działalność jej jest jeszcze niestety, zbyt mało znana i doceniana, zwłaszcza w tzw. sferach kulturalnych, które cisną się na „Dolce Vita”, ale ignorują „Rudobrodęgo”. Istnieje w Łodzi pierwszy i jedyny, jak dotąd, uniwersytecki Zakład Wiedzy o Filmie. Ma on jednak charakter ściśle naukowy i stał się ograniczonym kręgiem oddziaływania. Niemniej, zorganizowana przed dwoma laty staraniem Zakładu Wiedzy o Filmie, Szkoły Filmowej oraz Zakładu Filmu przy ISPANie Sesja Naukowa poświęcona XX-leciu polskiej kinematografii została niemal kompletnie zignorowana przez świat kulturalny Łodzi. Podobnie zresztą jak i przez przedstawicieli twórczego środowiska filmowego. W tej dziedzinie nie istnieje bowiem w naszym kraju jakakolwiek więź między tzw. teorią a praktyką. Nauka nie ma żadnych związków pośrednich lub bezpośrednich z twórcami i na odwrót. Zupełnie inaczej niż we Włoszech. Podobnie wygląda kwestia związków czy też ewentualnych wzajemnych wpływów krytyki i twórczości. Wynika to z znacznej mierze z faktu, iż nie istnieje w Polsce typ krytyki programowej, czy też lepiej mówiąc zaangażowanej artystycznie krytyki reprezentującej jakąś określoną i konsekwentną postawę w stosunku do zjawisk filmowych. Interesujący fenomen w dzisiejszych czasach — żaden polski krytyk nie pokusił się o przejście na drugą stronę barykady, czyli wzięcie w garść kamery filmowej. Do kręcenia filmów zabrali się za to pisarze i z wyjątkiem jednego Konwickiego, z opłakany skutkami.

To są oczywiście problemy natury generalnej, ogólnopolskiej, ale i Łódź jest częścią

Polacji, jak wiadomo. A pewne sprawy widziane z okien prowincji stają się szczególnie wyraziste. Tym bardziej, jeśli ta prowincja jest jednak silna, choć może w sposób mechaniczny, zaangażowana w pewne żywotne zjawiska życia kulturalnego naszego kraju.

Faktem jest, że poszczególne placówki filmowe naszego miasta żyją w całkowitej izolacji od siebie. Łączą je co najwyżej więzy natury czysto praktycznej, utylitarnej, a czasem i towarzyskiej. Zatem biorąc też pod uwagę wspomniane uprzednio zjawiska nie można mówić o istnieniu w Łodzi środowiska filmowego, tym bardziej środowiska aktywnego, promieniującego w jakiś sposób na życie kulturalne miasta. Z drugiej strony, może miasto nie tworzy warunków sprzyjających wykrystalizowaniu się takiego środowiska, które mogłoby przesadzić o specyfice kulturalnej Łodzi?

W całej sprawie rysuje się jeszcze aspekt dodatkowy. Łódź nie jest ośrodkiem kulturalnym typu humanistycznego. Zdecydowaną przewagę posiada tu inteligencja techniczna. Jest też miastem robotniczym, w którym, co tu dużo ukrywać, robotnicy nie osiągnęli (także i z przyczyn ekonomicznych) tego poziomu aspiracji kulturalnych, co na przykład robotnicy śląscy. Czynniki nadzreducentowały w związku z tym, jak się wydaje, po linii najmniejszego oporu. Do Łodzi przysyła się Animalów i Marino Mariniego, ale nie przysyła tu ani Elsa Fitzgeralda, ani Anzavour, ani Piccolo Teatro z Mediolanu, ani Teatr Brooka, ani Comedie Francaise. Był wprawdzie w ubiegłym roku teatr Eduardo de Filippo, ale widownia świeciła pustkami. Jeśli ktoś ma ochotę zobaczyć tzw. artystyczne wydarzenie, to Warszawa niedaleko. Za-

wsze można wyskoczyć. I tak właściwie zamyka się błędne koło. Zachodzi bowiem ścisła zależność między atmosferą kulturalną miasta, a wartością i aktywnością pro-sperujących w nim środowisk artystycznych. Trudno robić sztukę tam, gdzie nie ma na nią popytu. Trudno robić sztukę bez szerokiej i bogatej kontaktów oraz konfrontacji. Z kolei atmosfera nie zdoła się wytworzyć bez inwencji tychże środowisk, a także pomocy owych czynników nadzreducentowanych, które powinny być wzięte pod szczególną pieczęć kulturalną Łodzi. Tylko w ten sposób można zapobiec owemu pełnemu samozadowoleniu marazmowi w jakim tkwimy po uszy.

I nic tu nie pomoże obrażanie się na gremialny exodus filmowców do Warszawy albo na marzenia studentów Szkoły Filmowej o przenosinach do stolicy. Marzą — bo w Warszawie jest archiwum filmowe i „Huzjon”, gdzie można sobie obejrzeć filmy, o których uczą się z podręczników, są przeglądy filmu francuskiego filmów japońskich i pokaz „Giulietty i duchów” itd. Reżyserzy francuskiej nowej fali kształcili się przede wszystkim na starych i nowych filmach. Nasi studenci mają poważne trudności w tej mierze. Czasem muszą wybierać albo wykłady w Łodzi albo filmy w Warszawie. A rzecz nie sprowadza się tylko do filmów, ale i do wielu innych zjawisk życia artystycznego i kulturalnego. Wracamy więc do punktu wyjściowego. W obecnej sytuacji Łódź spełnia wyłącznie rolę filmowego punktu usługowego. Mózg i serce kinematografii są gdzie indziej. Gdzie indziej decydują się jej losy i skądinąd czerpią żywotne soki jej twórcy. Życie naszego miasta ma zbyt mało związków z życiem filmu, (nie licząc drobnych skandali towarzyskich).

KRONIKA

Antytelewizyjna

SZYBKA OBSŁUGA

Aktualnie ukazujący się „Słownik języka polskiego” naszej Akademii Nauk (niecierpliwie czekamy na tom osmy!) niewiele mówi o nowocześnieści. Nowoczesny to „właściwy nowym czasem, współczesny, teraźniejszy; no-wożytny, nowy; o ludziach; postępowy, niezacofany”. Ale na użytek felietonu może i tego wystarczyć. Nowoczesność to inny stosunek do czasu i przestrzeni, to na przykład szybka obsługa, wykonywana możliwymi technicznymi. Jeśli list ze znacznikiem poczty lotniczej idzie — bo chyba nie leci — pięć lub sześć dni, jeśli kartka do Francji idzie prawie dwa tygodnie, czy można w takich wypadkach mówić o nowocześnieści? Jeśli drugie po stolicy miasto nie ma komunikacji lotniczej, czy można mówić, iż jest w pełni włączone w nowoczesność? I, zmieniając proporcje, jeśli przed miesiącem odbył się w Łodzi Ogólnopolski Festiwal Poezji, a łódzki dziennik telewizyjny dotąd nie zdołał przedstawić choćby migawki filmowej, czy można mówić o nowocześnieści? Zresztą, w tym wypadku należy mówić o czymś zupełnie innym. O niechęci LOT do wydarzeń kulturalnych w naszym mieście, bo przecież po- mnięto i inne święta poetyckie, osma wiosne poezji. LOT nawet zlikwidował dwu-minutowe omówienia nowych wydawnictw, o czym pisałem. Niechęć, to może nawet za dużo. Rosjanie mają słówko „niedolubiwat”, co oznacza: nieszczerze lubię,

nie darzyć sympatią. Otóż to! Bo jak na przykład wytłumaczyć inny fakt: ukazująca się w naszym mieście „Karuzela” od lat demonstracyjnie jest współpracowała z łódzkimi satyrykami, aczkolwiek jest ich wielu i mogą wyka-zać się interesującym dorobkiem. Piszę o tym nareszcie w czasie przesyłki, bo „Karuzela” zmieniła redaktora — oczywiście, nie z wymie-nionego powodu — i można oczekiwać poprawy sytuacji. Ale zacząłem od nowocze-sności, żeby nie tylko narze-kać. Chciałem pochwalić dziennik telewizyjny z ponie-działku 20 czerwca. To był naprawdę dziennik; otrzy-maliśmy obszerną relację fil-mową z przyjazdu de Gaul-le'a do ZSRR, inne informac-je również były obficie ilu-strowane zdjęciami i uryw-kami filmowymi. Jednak można, choć jest to kłopotli-we! Nowoczesność w dzien-niku TV musi polegać na tym, że ważne wydarzenia jeszcze tego samego dnia po-winno się pokazać, coraz wię-ciej pokazywania i coraz mniej opowiesci. Idealnym dziennika TV byłaby więc zdecydowana przewaga obra-zu nad słowem. Jak dotąd, jest inaczej.

Wypada mi z niniejszego sprawozdania sobota i niedzie-la, gdyż „Odgłosy” wyjątko-wo mają ukazać się w śro-de, tedy, jeśli chodzi o ogólną charakterystykę tych pię-ciu dni spędzonych przed małym ekranem, można powie-dzieć, że były to raczej dni chude (za wcześniej jesz-cze na uwagi o festiwalu o-polskim).

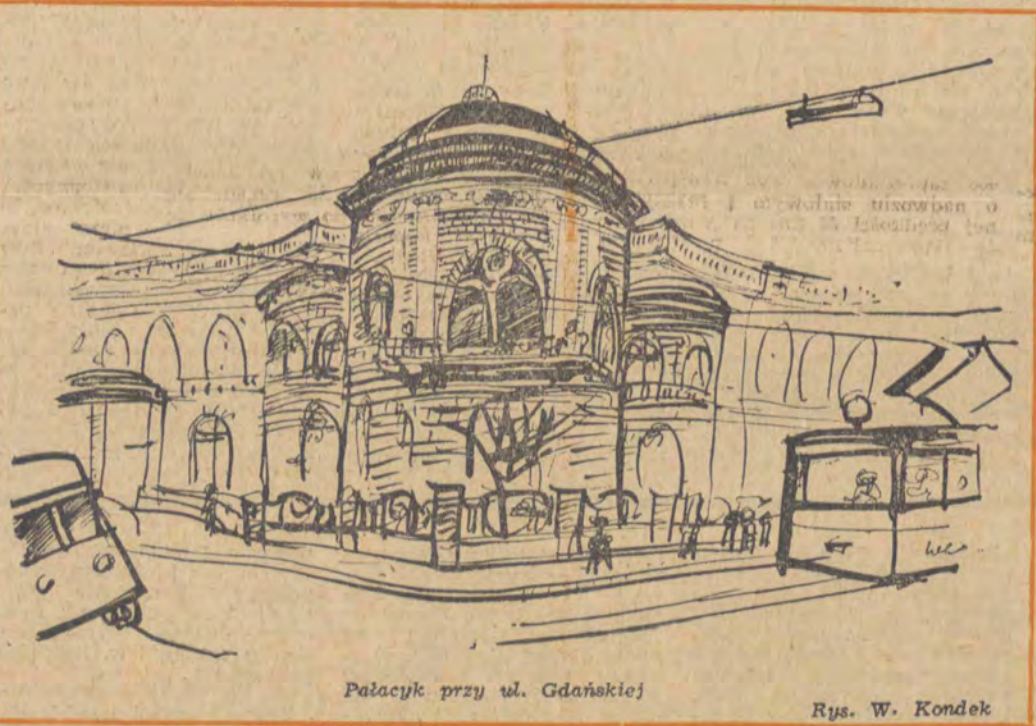
„Przygoda florencka”, kome-dia niedawno zmarłego Lud-wika Hieronima Morstina — autora „Obroń Ksantypy”, „Penelopy” — nie na-leży do najlepszych utworów scenicznych wybitnego pisa-rza. (Przykład na złą infor-mację: jedne pisma zapowia-dają sztukę St. Grochowiaka, inne właśnie „Przygode!”). Mogła jednak bawić, bawić, a nawet trochę uczyć, gdyby wykonawcy więcej zadbałi o stworzenie postaci prawdziwie komediowych. Niestety, nie udało się zwłaszcza służąca, choć tekst tej roli obfitował w elementy komediowe. Do-brze wypadło tylko warszawskie małżeństwo, zwrósz-cza brzydka jego połowka, która reprezentował Czesław Wollejko.

Słusznie postąpiono, powia-rzając wstrząsający film prod. NRD „Wyznanie mordercy”. Nie wiem, dlaczego nie prze-tłumaczono dosłownie tytułu — „Śmiejący się człowiek”. Ten hitlerowiec — major Muller, przez cały czas jest uśmiechnięty lub śmieje się a jego opowiadanie w peł-ni zdradza sposób myślenia, stwarzając przerażający kontrast.

Podczas oglądania tego do-kumentu nieodparcie przypo-mina się Kurtz z conradowskiego „Jadra ciemności”. Kurtz z Konga właśnie. Ge-nialny Conrad — Korzeniow-ski, który zmarł na długo przed „epoką pieców”, wie-dział o wiele więcej, niż kto-kolwiek z jego współczesnych.

Kiedy ogląda się film Yoshimury, nie sposób nie zastawić go z filmem Resnaisa „Hiroszima — moja miłość”. Rozpoznamy w nim miejsca, zabytki, eksponaty muzealne ukazane już w tym wcześniejszym dziele. Z porównania tego „Piętno Hiroszimy” nie może wyjść zwycięsko. Ma sceny dobre, ale w sumie jest to szlachetny co prawda, lecz nie najwyższej klasy melodramat. A przecież „Hiroszima — moja miłość” to prawdziwe arcydzieło. Film Resnaisa zachwylił mnie i zafascynował. Może więc zbyt surowo oceniam „Piętno Hiroszimy”. Pomimo tej surowej oceny zachęcam jednak do obejrzenia dzieła Yoshimury — warte jest tego.

MARIAREL



Pałac przy ul. Gdańskiej

Rys. W. Kondek

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Osiemnaście lat minęło od tragicznej daty Hiroszimy, kiedy reżyser Kimisaburo Yoshimura przystąpił do realizacji poświęconego tej tragedii filmu. Zainteresowania jego poszły nie tyle w kierunku pokazania tamtych strasznych dni, co raczej śladów, jakie pozostawił wybuch bomby atomowej w psychice bohaterów, w ich organizmach, na ich ciałach. Powstał film „PIĘTNO HIROSZIMY”. Kluczowa scena tego dzieła jest moment, kiedy przesłana Japonka Akiko prowadzi reporterza z Tokio nad morze w czasie odpływu. Podnosi z brzozy dwa kamienie i podaje reporterowi.

— Po co mi je dajesz? — pyta Kamiya.

— Ściśnij je — odpowiada kobie-ta. Kiedy Kamiya zaciska palce, kamienie rozlatują się, kruszą, jak bryki zeszniętego błota. Zdumio-nemu i przerażonemu reporterowi Akiko mówi: — One są jak my — ludzie, któ-rzy przeżyli Hiroszimę. Akiko jest jedną z tych kobiet, które były wówczas w Hiroszimie. Właściwie nie kobiet — była wtedy dziewczynką w wieku szkolnym. Kamiya trafia na nią szukając do reportażu ofiar Hiroszimy, pięt-na jej tragedii widocznego jeszcze po latach. Zafascynowany nieprzecie-tną urodą dziewczyny stara się zbli-żyć do niej. Rodzi się miłość... I wtedy właśnie zaczyna się tragedia. Dopiero wtedy Akiko ujawnia mu

swe nieszczęście. Dramatyczna i okrutna to scena, kiedy pokazuje swe ciało pokryte bliznami popro-miennymi. Kamiya nie zraża się, chce poślubić dziewczynę. Japonka zwręka ze ślubem, nie przyje-dza do Tokio. Kiedy Kamiya przy-będzie ponownie do Hiroszimy, że-by ją zabrać ze sobą, nie zastanie jej już wśród żywych. Idzie nad brzeg morza, kruszy w dłońach przyniesione przez przypływ kamie-nie. Tak samo krucha była jego Akiko... Odzywa się w nim głucha rozpacz. Łka bezsilnie, oparty o ka-mienne schodki, nie zważając, że przypływ zagarnia go podnoszącą się wodą. Tragedia Hiroszimy stała się jego osobistą tragedią. To zna-

komita, najlepsza z całego filmu scena. Kiedy ogląda się film Yoshimury, nie sposób nie zastawić go z filmem Resnaisa „Hiroszima — moja miłość”. Rozpoznamy w nim miejsca, zabytki, eksponaty muzealne ukazane już w tym wcześniejszym dziele. Z porównania tego „Piętno Hiroszimy” nie może wyjść zwycięsko. Ma sceny dobre, ale w sumie jest to szlachetny co prawda, lecz nie najwyższej klasy melodramat. A przecież „Hiroszima — moja miłość” to prawdziwe arcydzieło. Film Resnaisa zachwylił mnie i zafascynował. Może więc zbyt surowo oceniam „Piętno Hiroszimy”. Pomimo tej surowej oceny zachęcam jednak do obejrzenia dzieła Yoshimury — warte jest tego.

Fantastyka naukowa — to cha-rakter opowieści filmowej ukazanej w „WEHIKULE CZASU” Geor-g'e'a Pala, opartej o powieść H. G. Wellsa. Tytułowy pojazd umo-gliwia głównemu bohaterowi Geo-rgowi poruszenie się w czwartym wymiarze, jakim według teorii względności jest właśnie czas. Rzecz dzieje się w pierwszych dniach 1900 roku, a więc u narodzin XX

wieku. Genialny konstruktor może dzięki swej maszynie nieogranicze-nie poruszać się w przyszłości i przeszłości. W ten sposób wedruje poprzez pierwszą i drugą wojnę światową do wojny atomowej i kompletnego zniszczenia rodzaju ludzkiego, a potem przez tysiąc-lata do odrodzenia natury i dwóch wynaturzonych zupełnie gatunków homo sapiens. Tu — mroźca krew

w żyłach ciekawostka: film powstał w 1960 roku, data wojny atomowej to właśnie rok 1966. I chociaż nie jestem przesadna, spe-szyło mnie to niemile. „Wehikul czasu” jest trochę dziw-ny nie tylko ze względu na tematy-kę. Jak dla dorosłych — jest zbyt naiwny i lopatologiczny. Jak dla dzieci — zbyt okrutny miejscami, można by nim tylko straszyć.

Stanowczo wolę fantastykę opisa-ną niż pokazaną. Potwierdza się raz jeszcze prawda, że film jest sztuką realności, konkretną. Fantazja wypada w nim zgola niefantastycz-ny, śmiesznie, czasem żenująco. Z takim właśnie uczuciem zażenowa-nia opuszczałam kino po obejrze-niu „Wehikulu czasu”.



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

STANISŁAW I DON KICHOT

Nie, to nie omyłka. Brat wielkiego irlandzkiego pisarza-niowatora James Joyce'a miał na imię „Stanislaus”. Trudno przecież przypuścić, by istniało w jakimkolwiek języku imię o podobnym brzmieniu. Inna rzecz, skąd się wzięło w Irlandii? Czy jakaś, nieznaną nam, infiltracja polskości? Na razie niepodobna tej zagadki wyjaśnić.

Stanislaus Joyce, o trzy lata młodszy od swojego wielkiego, brata, stał się jego wiernym wielbicielem, opiekunem i wyznawcą. Pod każdym względem był zresztą do siebie niepodobny. W Trzebie, gdzie razem mieszkali w latach 1905-1915, znakomity pisarz, a dobry ich znajomy, Italo Svevo, porównywał Jamesa do Don Kichota, a Stanisłausa — różniwie „Sansusla Pansza”. Należy temperamentów i uspośobień prowadziły między braćmi do nieporozumień i burzliwych starć. Nie-

mniej, młodszy stał się opiekowal twórcą „Ulisessa”, utrzymywał go, ratował od nędzy. Z przywiązania do brata pełnił cieżką funkcję gminajalnego profesora.

Stanislaus Joyce od najwcześniejszych lat prowadził swój dziennik, ku zabawie niedoceniającego go brata. Na tej podstawie napisał potem biografie autora „Ulisessa”, pełna cennych i nieznanych szczegółów. Niestety, podjął te prace biograficzna już pod sam koniec swego życia i zdążył doprowadzić ją tylko do 22 roku swego życia, opisując dzieciństwo i młodość spędzone w Irlandii, w latach 1882-1905. Książka ta ukazała się niedawno z przedmowa Eliota. Ciekawa jest rzeczą, że od młodości idealami Joyce'a byli: Giordano Bruno (jeśli chodzi o filozofie), Giambattista Vico (historia) oraz Ibsen (sprawy dramatu i teatru). Natomiast negatywnie odnosił się Joyce do folkloru i dawnych legend ludowych.

W. N.



„O BOŻE! JAKA ŁADNA JEST WOJNA”

W teatrze w Nanterre grana jest sztuka pt. „Ah Dieu, que la guerre est jolie!” (O Boże! Jaka ładna jest wojna). Jest to adaptacja sceniczna utworu brytyjskiego autora Charlesa Chiltona. Adaptację dokonał Pierre Debauché. Sztuka jest ostrą satyrą na wszystkie wojny, choć tematycznie odnosi się do pierwszej wojny światowej. Wstawki w formie piosenek, muzyki, tańca, jakimi przepleciana jest akcja sztuki, charakteryzują się ciętą, nierzadko krutą ironią, choć po-

dane są w rewolwerowej formie. Adaptator i reżyser wykorzystali, dla lepszego oddania nastroju epoki, autentyczne slogany propagandy wojennej, ar tykuły dziennikarskie i afisze z okresu pierwszej wojny światowej.

WYSTAWA SZTUKI PAPIUSKIEJ W AMSTERDAMIE

Letnia wystawa w Rijksmuseum w Amsterdamie poświęcona zostanie w tym roku sztuce papuski. Ekspozycja została wypożyczona z roz maitych zbiorów znajdujących się na terenie Holandii.

ZMARE JEAN ARP

Zmarł znany rzeźbiarz, malarz i poeta, który na tważe wszedł do historii sztuki jako jeden z najwybitniejszych twórców ruchu „Dada”, Jean Arp.

Urodził się w 1887 roku w Strasburgu. Studia malarskie odbywał w Weimarze, a następnie w Paryżu. W 1912 poznał Kandynskiego, wystawia swe obrazy w Monachium. W 1914 roku na twórczość Arpa wywiera wpływ poznany przez niego w Kolonii Max Ernst. Ernst wprowadza Arpa do kół artystycznych, w których przewodzą Apollinaire, Modigliani i Picasso. W 1915 roku Arp jest w Zurychu, gdzie bierze intensywny udział w życiu artystycznym i gdzie następnie jest jednym z najwybitniejszych współtwórców ruchu „Dada”. Uprawiając plastykę Arp zajmuje się równocześnie literaturą. Po pierwszej wojnie światowej osiedla się w Paryżu, gdzie głównie poświęca się rzeźbie. Odchodząc od fantastyki ruchu „Dada” podprzez twórczość surrealistyczną Arp tworzy to, co według niego jest uśłowianiem znalezionej formy czystej. Wkrótce zostaje uznany za jednego z wybitniejszych przedstawicieli sztuki abstrakcyjnej. Podczas drugiej wojny światowej Arp przebywa na podziemiu Francji, gdzie udokonała swa technikę collage'u. Wraca do Paryża po wyzwoleniu. Teraz następuje nowy okres w twórczości Arpa. Wykonuje monumentalne płaskorzeźby, z których naj słynniejsze, to płaskorzeźby w drzewie dla amerykańskiego uniwersytetu harwardzkiego i dla uniwersytetu w Caracas.

Twórczość Arpa wywarła znaczny wpływ na wielu rzeźbiarzy. Jego dzieła znalazły się w kilku znanych muzeach, m. in. w Biele, Zurychu, Nowym Jorku. W roku 1954 Jean Arp otrzymał nagrodę w dziedzinie rzeźby (Prix International de sculpture) na Biennale w Wenecji. Płaskorzeźby Jeana Arpa zdobiją gmach UNESCO w Paryżu.

HELENA PARMELIN O PICASSIE

W wydawnictwie „Cercle d'Art” ukazała się książka pt. „Notre Dame de Vie” (nazwa posiadłości Picassa, gdzie wielki artysta mieszka). Jest to ostatni z trzech tomów poświęconych życiu i twórczości Picassa.

Całość nazywa się „Secrets d'alcove d'un atelier”. Dwa pierwsze tomy mają tytuły: „Les Dames de Mougins” i „Le Peintre et son modèle”. Całość liczy 600 stron druku i zawiera 450 kolorowych reprodukcji. Autorka w sposób żywy i niezwykłe sposoby kreśli sylwetkę Picassa nie tylko przed sztalugami, w jego pracowni, ale na tle jego codziennych zajęć i wypoczynku, na plaży i w ogrodzie. Parmelin zanotowała wiele wypowiedzi Picassa, podaje jego refleksje i sady na temat sztuki, przekazuje czytelnikowi jego dowcipne sformułowania. Z książki widać wyraźnie zdolność Picassa do ujmowania w sposób prosty i jasny nieraz najtrudniejszych problemów.

Jedną z najbardziej ciekawych części książki „Notre-Dame de Vie” jest rozdział poświęcony dziełom jakie Picasso tworzył w roku 1955 dla filmu nakreconego przez Clouzota pt. „Le Mystère de Picasso”. Autorka zamieszcza ponadto reprodukcje obrazów z lat 1962, 1963 i 1964. Wiele z nich nie było dotąd nigdzie publikowanych.

MARINA VLADY MIALA PRA-PRA-PRA-BABKĘ MONGOLKĘ

Marina Vlady — jak nas informuje „Le Figaro” w dziale plotek i ploteczek ze świata — była w Tokio dowiedziana od fantastyki ruchu „Dada” i znany aktor japoński Sessue Hayakawa (grał m. in. w filmie „Most na rzecę Kwai”) mieli wspólna mongolska dra pra-prababkę. Osiemdziesięcioletni Sessue Hayakawa jest wielkim miłośnikiem francuskiej kultury. Jeden dzień w roku — 14 lipca — będący francuskim świętem narodowym, Hayakawa mówi wyłącznie po francusku. Wszystkie swe wolne chwile poświęca na tłumaczenie dzieł Wiktora Hugo.

CZŁOWIEK, KTÓRY OSZUKIWAŁ ŚMIERĆ

Gil Delamare był specem od niebezpieczeństw. Zastępował filmowych aktorów w scenach, które groziły im utratą życia lub zdrowia. Był to już jego osiemdziesiąty film gdy miał wykonać ostry skręt ładca autem. Samochód lechał z szybkością 70 km/godz. Delamare wykonał sześć razy kolejno ten sam manewr, ale filmowcy nie byli zadowoleni. „Jeszcze raz” — usłyszał polecenie. „Przesadzają!” — mruknął. Kamera filmu wa wycelowana była na pedzace auto. Siódmy manewr. I oto samochód wywraca się. Delamare zostaje przygnieciony przez samochód. Śmierć. Tym razem prawdziwa. Dolychezas była tylko udawana. W swej karierze Gil Delamare miał sto dziesięć wypadków



Gil Delamare

samochodowych, 200 upadków z konia, motoru lub wypadnięcie z helikoptera. Sfilmowano jego 700 skoków spadochronowych.

Na kilka dni przed wypadkiem, jakby w przeczuciu bliskiej śmierci, Gil Delamare nagrał na taśmę magnetofonową coś co stanowiłoby jakby testament tego człowieka igrającego ustawicznie ze śmiercią. „Wszyscy mamy w sobie jakiegoś zmiłowanego do ryzyka. Nawet najbardziej lekliwy skromny urzędnik biurowy miał niewątpliwie choć raz w życiu ochotę na to, aby wszystko postawić na jedna kartę”. I dalej Delamare mówi, że jeżeli Delamare mógł, że chce ryzyka jest

pragnieniem podporządkowania sobie własnego losu, osiągnięcia poczucia, że się jest jego panem. Oczywiście to poczucie związane jest z poczuciem pisanym się przed innymi. Człowiek na wyspie bez ludnej, nie mając nadziei na pewno nie zapadnie w wykapac się wśród rekinów. „Gdybym miał talent — mówił Delamare — chciałbym być Hemingwayem. Fascynuje mnie jego osobowość, fascynuje mnie jako człowiek i jako autor. Pewnego dnia postanowił się zabić. I to właśnie Hemingway, który kochał życie jak mało kto. Ja nie żałuję śmierci, ale uważam, że dopiero ryzyko nadaje sens życiu”.

75 ROCZNICA URODZIN SIERGIEJA PROKOFIEWA

Niedawno minęła 75 rocznica urodzin radzieckiego kompozytora o światowej sławie, jednego z największych klasyków muzycznych XX wieku, Siergieja Siergiejewicza Prokofiewa. Był on twórcą ośmiu oper (m. in. „Wojna i pokój”), siedmiu baletów (m. in.

„Romeo i Julia”), siedmiu symfonii, wielu koncertów, utworów fortepianowych, pieśni i kantat.

Twórczość Siergieja Prokofiewa, artysty-nowatora, wywarła znaczny wpływ na wielu kompozytorów. Wielokrotnie na gradzany i odznaczany, w roku 1953 został wyróżniony pośmiertnie Nagrodą Leninowską.



POLONICA

KAROL STRYJA DYRYGUJE W CZECHOSŁOWACJI

Kontakty muzyczne z naszymi południowymi sąsiadami od dawna budziły zainteresowanie w naszym środowisku. Często także interesowali się naszym ruchem muzycznym, a utwory Chopina, Karłowicza czy Szynarowskiego były grane niemal we wszystkich większych miastach.

Ostatnio „Głos Ludu” z zachwytem i sympatią pisał o gościnnych występach na ziemi czeskiej dyrygenta Filharmonii Śląskiej w Katowicach — Karola Stryja. Po podróży do Szwecji, Danii, Holandii, Jugosławii, ZSRR, Bulgarii i Rumunii znakomity dyrygent przybył do Czechosłowacji. Oto co pisze Alojzy Mańka w artykule pt. „Katowice — Trzyniec via Ostrawa”: „Przynieć sobie wyobrazić owo gorączkowe oczekiwanie publiczności na pierwsze zetknięcie się z nim... Jest nie tylko wielkim dyrygentem, ale także pedagogiem, który wychował sporo wybitnych artystów muzyków.”

(el)

POLONIA FRANCUSKA O POMNIKU M. KONOPNICKIEJ

Wszyscy pamiętamy o tej uroczystości, tym bar dzie, że jej inicjatorami były dzieci, Polonia Francuska, gdzie kult oą jest znakomitym poetką jest bardzo wielką, z sym patią obserwowała prze bieg uroczystości, a tygodnik „La Semaine Polonaise” poświęcił ciekawy artykuł, omawiający akcję polskiej młodzieży szkolnej. „Jest to pierwszy w świecie pomnik zbudowany przez najmłodszych czytelników ulubionej autorce w hołdzie za jej dzieła.”

W dalszym ciągu tygodnik przytacza fragmenty listów od dzieci, które nadeszły do redakcji „Pionierka” nie tylko serdeczne słowa i entuzjastyczne wypowiedzi, ale także ofiarowały sumy pieniężne.

Dla przypomnienia naszym czytelnikom podajemy, że projekt pomnika M. Konopnickiej wykonał artysta rzeźbiarz Stanisław Kulon.

(el)

ROSJANIE O „DOMU ARTYSTY”

Otwarcie „Domu Artysty” w Warszawie stało się pretekstem dla rozważań radzieckiego komentatora z „Sowieckiej Kultury”, który w jednym z czerwcowych numerów pisma pisze: „Przy jednej z centralnych ulic Warszawy został otwarty „Dom Artysty”, a przy tej okazji plastycy otrzymali odznaczenie „Za zasługi wobec Warszawy”. Odznaczenie w imieniu stolecznych artystów przyjął przewodniczący stolecznego oddziału ZPAP Andrzej Janota.”

Wiemy z naszej prasy, że przy tej okazji zorganizowano także wielką wystawę prac warszawskich plastyków. To też nie można się dziwić, że komentator podkreślił ten fakt szczególnie: „Zebrano tu najlepsze prace z ostatnich lat i zorganizowano oddzielne wystawy retrospetywne obrazujące twórczość znanych artystów. Te wystawy „Trybuna Ludu” nazwała wizytówką warszawskich plastyków, dowodem ich aktualnej twórczości.”

(el)

POLONICA

ZAMIAST NOTATNIKA KULTURALNEGO

Nie bez racji łódzkie środowisko plastyczne zalicza się do najsilniejszych w kraju.

Nie jest to przypadek ani chwilowy wzrost. Plastycy łódzcy, prócz liczebności i preżności, mają tę przewagę nad wieloma innymi grupami twórców w Łodzi, że ich zbiorowy wysiłek jest konsekwentny a różnice poglądów i mnogość uprawianych kierunków nie paraliżują tego wysiłku. Akcje podejmowane przez plastyków łódzkich są w większości realizowane, udane i społecznie przydatne.

Wystarczy przypomnieć ani chwilowy wzrost. Plastycy łódzcy, prócz liczebności i preżności, mają tę przewagę nad wieloma innymi grupami twórców w Łodzi, że ich zbiorowy wysiłek jest konsekwentny a różnice poglądów i mnogość uprawianych kierunków nie paraliżują tego wysiłku. Akcje podejmowane przez plastyków łódzkich są w większości realizowane, udane i społecznie przydatne.

Ieczyźnie i łódzkiej szkole im. Malgorzaty Fornalskiej pozwoliły na zorganizowanie w tych szkołach stałych wystaw. Dzieła przekazane zostały z okazji otwarcia Salonu Wy stawowego przy ulicy Piotrkowskiej.

Plastycy łódzcy kierują się zdrową potrzebą „wcho dzenia pod strzechy”.

Tego typu akcje służą propagowaniu i upowszechnianiu malarstwa, sztuki społeczeństwu i samym plastykom. Jest to polityka dalekowszerna, bowiem upowszechnianie budzi potrzebę obezwania, a potrzeba taka z kolei oznacza zakup dzieła sztuki, a więc zdobyte środki, a więc zdobyte środki nie odróżniającego tandety od oryginalnej twórczości.

Być może, że zewnętrzna zwrotność środowiska

plastycznego ma, między innymi, swoje źródło w milczeniu...

Głównym argumentem sporu artystycznego wśród malarzy, sporu dostępnego szerokiemu odbiorcy, jest obraz.

Głównym argumentem sporu artystycznego, na przykład wśród pisarzy, sporu dostępnego szerokiemu odbiorcy, jest słowo. Wiadomo, że słowo stało się nie tylko twórczością, na ono w sobie również moc destrukcyjną, może deprecjonować wysiłek indywidualny a także zbiorowy. Srodki wyrazu środowiska plastycznego są pozasłowne — to daje moc i operatywność.

Nie brak w Łodzi reprezentatywnych kierunków w malarstwie i grafice. Jest i rzeźba. Badażce we wszystkich konwencjach, od naturalizmu do abstrakcji, tworzą łódzcy plastycy. Ta różnorodność nie tylko w niczym i nikomu nie wadzi, ale spełnia różnorakie pozytywne role.

Miesięcznik „Twórczość” pisze tak, między innymi, o grupie łódzkich malarzy: (Barbara Szajdzińska-Krawczyk, Jerzy Krawczyk, Benon Liberski, Wiesław Garboliński,

Józef Skrobiński) „Szkoła łódzka szuka swojej własnej formy wyrażenia rzeczy wiści, gąjąc do wypowiedzenia własnego słowa w sztuce. Jej program — to wyraz powagi, dążeń artystów w celu ideowo-politycznego podniesienia znaczenia sztuki w naszym czasie. Można uważać, że odegra (ta szkoła) nieposlednią rolę w dalszym rozwoju polskiej sztuki realistycznej”.

Realizm spełnia, jak wiadomo, określoną i pozytywną rolę. Nie wszyscy realisci łódzcy dadzą się ująć w ramy „szkoły łódzkiej”, niemniej jednak i oni wy stawiają swoje prace w kraju i za granicą. Oglądaliśmy wiele wystaw łódzkich. W salonie wystawowym w parku Sienkiewicza, w starym i nowym przy Piotrkowskiej, w Klu bie Dzielnikarza; plastycy łódzcy do klubów, kulturalny teatr i na wycieczki. Plastycy wychodzą na ulice i wchodzi do mieszkań domów w postaci przedmiotów codziennego użytku i tkanin artystycznych.

Oddzielną i ważną rolę dla naszego miasta rolę spełnia tkanina artystyczna.

To dzieło sztuki, tak częs to spotykane w naszych domach, i traktowane jako element dekoracyjny, nierzadziej jest rodzem z abstrakcji, mało — bywa obrazem abstrakcyjnym z tym, że nie na płótnie malowanym, lecz drukowaną na tkaninie. Różnica niewielka w istocie, ale w odbiorze uprzedzonego do abstrakcji odbiorcy kolosalna.

Rola tkaniny artystycznej w upowszechnianiu malarstwa, w kształtowaniu smaku, jest ogromna. I pomysłcie, że Łódź, własnie Łódź przez sprzężenie „bezużytecznej” abstrakcji z podstawą i konkretem bytu gospodarczego miasta — włókiennictwem, stała się kolebką sztuki abstrakcyjnej.

Paradoksy pożorny: wystar czy bowiem niekiedy przesunąć akcent znaczeniowy, zmienić pretekst do odbierania doznań estetycznych a dzieło przestać być obce, zaczyna być swoim autonomicznym pięknem. Być może, że abstrakcja malarska w czyste, bezanegdotycznej czy amorficznej postacić pragnie być radością zmysłową, dekoracją życia

cywilizowanego. Czymkol wiek jednak jest albo bę dzie nie zmienić to faktu, że Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi i profesorowa Teresa Tyszkiewicz i Stanisław Fijałkowski położyli duże zasługi w upowszechnianiu plastyki, ucząc przyszłych artystów podstaw kompozycji i druku na tkaninie.

Bogaćtwo kierunków i form, które prezentuje Łódź plastyczna, prócz pożytków jakie z tego pływają, jest niesłychanie zapładniające i rokuje dalszy, bujny rozwój tej pięknej sztuce.

Należy życzyć tego samego innym środowiskom twórczym, a w szczególności tym, które mając ku temu pełne dane, topią owoc pracy twórczej, społecznej i organizacyjnej w malej sadzawce prywatnego ogródka.

J. Zelode

ILS SONT NAZIS EN 66

Nawet grom z jasnego nieba nie byłby takim zaskoczeniem jak nieoficjalny sukces ultranacjonalistycznej partii neonazistowskiej, w ostatnich wyborach municypalnych w NRF. Partia ta — NPD (tzw. narodowo-demokratyczna) — powstała w roku 1964 w Hanowerze. Kieruje nią 50-letni przemysłowiec z Bremy, Fritz Thielen, zwany przez podopiecznych „nowym führerem”. Jej program polityczny: zjednoczenie Niemiec, powrót do starych granic, zaprzestanie procesów przeciwko przestępcom wojennym i rehabilitacja III Rzeszy... Większość członków NPD wywodzi się z zasłużonych nazistów.

Podczas wyborów do Bundestagu w roku ubiegłym NPD otrzymała 2 proc. głosów, to jest prawie tyle, ile partia hitlerowska w 1928 roku. W wyborach municypalnych NPD zdobyła, na terenie całej Republiki Federalnej 1,6 proc. głosów, jednakże w Szlezwik-Holsztynie i w Bawarii dostała podwójną a nawet potrójną liczbę głosów. W małym miasteczku bawarskim Reichertshausen 92 proc. mieszkańców oddało swe głosy na miejscowego lidera NPD, byłego podoficera SS, wybierając go na burmistrza.

Następne tygodnie przyniosły zaskakującą niespodziankę. W przeciągu kilku dni nowa partia odbyła w Karlsruhe serię posiedzeń, a już w lipcu ub. roku, prowincjonalne wybory do Landstagów zwróciły ogólną uwagę na „fenomen NPD”.

Może ten neohitlerowski „fenomen” będzie dla społeczeństwa NRF momentem opamiętania, próbą sił między drogą do przepaści, a zdrowym rozsądkiem.

* * *

Reichertshausen — to małe miasteczko na mapie. Przejeżdżając tamtędy, nie ma powodu, żeby się zatrzymać. Nie urodził się tutaj żaden sławny człowiek, nie odbyła się tu żadna wielka bitwa. Dlaczego więc na skrzyżowaniu pod Hofolding większość turystów zjeżdża z autostrady, wiodącej z Salzburga, żeby wiejską zadrzewioną drogą, poprzez pastwiska dojechać do całkiem zwykłej wsi bawarskiej. Z jej kościółkiem, z jej rolnikami, drwalami, dobrze odkarmionym bydłem, z jej gospodą, w której pachnie kwaśnym piwem?

Odpowiedź na to pytanie można by ująć w ten sposób: „Reichertshausen, Bawaria, 760 mieszkańców. W wyborach municypalnych w roku 1966, głosowało na NPD 92 proc. mieszkańców. Ważne osobistości: Herr Paul Schoefflmaier, lat 39, był podoficer dywizji SS „Das Reich”.

Herr Paul Schoefflmaier jest burmistrzem w Reichertshausen. Kościsty mężczyzna z rękami jak łopaty. Oko żywe, cera różowa. Można go sobie świetnie wyobrazić w roli podoficera SS, z tej pełnej glorii dywizji, która się wstawiała w Oradour, akcją głośną w całym świecie. Zresztą po co sobie wyobrażać? Żeby podnieść swe walory, burmistrz zawiesił w mieszkaniu swój własny portret, jest na nim w mundurze SS. Wygląda na to, że czeka tylko, aż dokonają się jakieś większe porządki, a zawiesi zaraz całą galerię swych sławnych przodków — kochanego dziadka Hitlera, wujka Himmlera czy kuzyna Martina Bormanna — „Wewnętrzna polityka Adolfa Hitlera — powiada nowy burmistrz — była do-

brą polityką aż do roku 1938. On rozzerwał kajdany Traktatu Wersalskiego. W tym czasie chłopcy byli zadowoleni. To jest właśnie ta dobra strona polityki III Reichu, do której dążymy”.

Paul Schoefflmaier nigdy nie wyrzekł się swych poglądów. Wzięty do niewoli pod Pragę w ostatnich dniach wojny, następnie uwolniony przez amerykańskiego oficera, powrócił do rodzinnej wsi. Znalazł ją zrujnowaną, wyludnioną, zdemoralizowaną. Zrozumiał, oczywiście, że ma tu do odegrania rolę, że czeka na niego ważne miejsce. I tak oto, ten były podoficer SS przejawiał niepoślednie talenty, których by nikt w nim nie podejrzewał: organizatora i propagandy...
Wszędzie go było pełno, działał też w sąsiedztwie, zebrał byłych żołnierzy Wehrmachtu. Zainicjował coś w rodzaju służby pracy, przez którą przeszli wszyscy mieszkańcy miasteczka. Powoli Reichertshausen i jego okolice dzwignęły się; kamieniem wyłożono drogi, odbudowano szosy, kanalizację. Autorytet i poważanie inicjatora tych sukcesów rosły jak na drożdżach. Rychło uznano, iż renesans Reichertshausen należy przypisać nie człowiekowi, lecz jego ideom. Czyli inaczej, że to nie Paul Schoefflmaier podniósł wieś z upadku, lecz idee samego Adolfa Hitlera.

Teraz, burmistrz Paul Schoefflmaier, mając za sobą rodziców, nie tracił już czasu na przekonywanie młodzieży. I na tym polu okazał się wprost cudowny: stworzył klub sportowy, zorganizował drużynę hokeja na lodzie. Jednocześnie, w szkole, w sklepie, wszędzie tam, gdzie tylko mogły to usłyszeć dziecięce uszy, dorosli odtwarzali historię wg recepty Schoefflmaiera, kładąc szczególny nacisk na dawne „dobre czasy”, na fanfary, werble i pochodnie w Norymberdze oraz na tradycje militarystyczne.

I w taki to sposób, niedostrzegalnie, wieś niemiecka w NRF przesadziła jedynym skokiem 20 lat historii, nawiązując bezpośrednio do przeszłości.

Zaraz po utworzeniu ultranazistowskiej NPD, niestrudzony Schoefflmaier zgłosił do niej swój akces. Również bez zwłoki umieszczał w niej swoich najbliższych współpracowników. W myśl wypracowanej taktyki: „Najważniejsze, żeby



Konferencja prasowa w Bonn. Przemawia przewodniczący NPD — Thielen, nazywany przez swych podopiecznych „nowym führerem”. Obok — wiceprzewodniczący von Thadden. Fot. Paris Match

wszystkie kluczowe pozycje należały do partii”. A kluczowe pozycje w Reichertshausen to: sklep, gospoda, lokal straży pożarnej, klub sportowy. Być może, tu kryje się tajemnica 92 proc. głosów, które wprowadziły byłego SS-mana na stolec burmistrza.

Dziś, tęsknoty za swastyką tak mocno trzymają w garści całą wieś, że organizowanie wieców politycznych jest absolutnie zbędne. Po co? Program partii znają wszyscy. A do permanentnego utrzymywania kontaktów z mieszkańcami wsi wystarczą w zupełności zebrania i kierowane dyskusje członków straży pożarnej, folklorystyczne święta i uroczystości, zawody sportowe, czy

nawet pijatyki w miejscowej gospodzie.

Tutaj, w Reichertshausen, każde słowo — ma — swoje echo, a każdy gest wierne odbicie we „wspólnocie”.

— My chcemy zjednoczenia Niemiec — mówi burmistrz.

— ...Zjednoczenia! Zjednoczenia! — wtóruje wieś.

— Nigdy nie zapomniemy o ziemiach anektowanych przez Polskę, przez Czechosłowację, przez Rosję. Będzie dobrze, jeżeli pewnego dnia wszystko co mówi po niemiecku, stanie się niemieckie...
— ...stanie się niemieckie — powtarza wieś.

— Trzeba skończyć z procesami przeciwko przestępcom wojennym, z odszkodowaniami. Nie jesteśmy

nazistami. W naszej partii nie ma tego więcej, niż w innych niemieckich partiach... — nie więcej, niż w Bundestagu — potwierdza cała wieś.

— Tutaj, w Reichertshausen, nasza polityka wydała owoce. Ale chcemy mieć jeszcze lepsze. Teraz trzeba ją rozszerzyć na całe Niemcy...
— ...na całe Niemcy — podchwytuje wieś.

Biała pianą musuje w kufiach. Prosi! Prosi! „Nie ma lepszego cementu, niż piwo” — mówi burmistrz z SS. Reichertshausen leży 30 kilometrów od Monachium. W roku pańskim 1966. I Dachau leży w pobliżu...
PIERRE JOFFROY

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym
okiem

ODDECH W PUSZCZE

W tak zwanych towarzyskich rozmowach, a już szczególnie jeśli towarzystwo nie należy do najmłodszych, powtarzają się odkad pamięć ludzka sięga niektóre tematy z podziwu godną, a wartą wyjaśnienia uporczywością. Temat naczelnym — choroby — wyjaśnić nie wymaga, nie przecież nie jest nam bliższe od zdrowia. Ale dlaczego zawsze, w pociągu czy na imiennicach, musimy rozmawiać o złodziejach?

Nie wyrażam tego zdziwienia z pozycji zgorzsnionego. Sam też lubię ten temat i z przyjemnością czytuję legendy i mity o starych kanciarzach, tych co to rozbiłali tory kolejki z Warszawy do Grójca, brali myto na moście Kierbe-

dzia, sprzedawali ratusz na Placu Teatralnym. Życie jest poważne, twarde, surowe, cinnie nas ze wszystkich stron milionem obowiązków. Łotrzykowską kpinę z tej powagi traktujemy więc jak sztubacki kawał, niech raz będzie na złość, byle z humorem, no i byle go nas osobiście nie dotknęło. Fakty sprzed pół wieku już nikomu nie szkodzą. Czytajmy więc, co pisze Urban-kiewicz w „Odgłosach” o Slepym Maksie, Janosku Łódzkim! Cóż to, tylko Warszawa miała Tasiemkę, Dziubę i Szpicbródkę?

W każdym wspomnieniu, także i w tym o niegdysiejszych złodziejach, jest odrobina rzetelności: gdzie te czasy! Kto wie jednak, czy za następne pół wieku syn Urban-kiewicza nie będzie miał więcej do wspomnienia o naszym „dziś” — Przerzucimy kilka pism z ostatnich miesięcy: cóż za rozmaitość pomysłów! Proszę bardzo:

We Włocławku skradziono z plaży nad Wisłą ubikację męską. Być może była to kradzież, spowodowana elementarną potrzebą. Ale w Grudziądzu zginął magazyn z całą zawartością, i to nie byle jaką: maszynami do konserwacji dróg. Wyobraźcie sobie walec drogowy, okazynie do kupienia na Czerwonym Rynku!

W pewnej okolicy jeździł po wsiach geodeci i mierzyli pola. Po co? Żeby wytyczyć miejsce pod budowę wielkiego przemysłowego kombinatu. Całe wieś składały się na prezenty dla ge-

odów, żeby wybrali miejsce to, a nie inne. Wiadomo, kombinat będzie wykupywał ziemię. Zapłaci, ile się zechce. Geodeci brali prezenty, zresztą tylko w gotówce, i jechali mierzyć następną wieś. To już nie: „kup pan cegłę”. To wielki kanciarzski przemysł!

Inni geodeci, absolutne przeciwieństwo tamtych, stwierdzili drogą sumiennych pomiarów, że województwo łódzkie jest o sto tysięcy hektarów, czyli o cały powiat większe, niż się wszystkim dotychczas zdawało. Przez tyle lat cały powiat ukryto przed wymiarem podatku gruntowego, aż dziw, że go nie przemycono za granicę i nie wymieniono na francuskie swetry...

Nie giną więc tradycje w narodzie. Nie potrzebujemy się obawiać porównań z zagranicą, chociaż z oddechem Beatlesów i lusterka, w których przeglądał się Presley, nie u nas rezerwuje się za ciężkie pieniądze miejsca w wycieczce na Marsa i nie nasi handlowcy przyjmują zamówienia na kwiaty dla praprawnuków, do wyczenia za sto lat przy dźwiękach głosu ofiarodawcy, nagranych na taśmie. To wszystko są czynności najzupełniej legalne. Nie uważacie, że to jakieś mało sportowe, że ani legendy i tego nie będzie, ani zbioru wspomnień, ani nawet tematu do rozmowy z nieznanym urzędnikiem, jadącym służbowo za ulgowym biletem turystycznym? —
CWIEK